Korespondencja Kaj.
Koźmiana z Fr. Mężykiem

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt V. Miesiąc Luty 1875.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1875.

KORESPONDENCYA

Kajetana Koźmiana z Franciszkiem Wężykiem

(między r. 1845 a 1856).

Nowa tak zwana epoka romantycznej poezyi naszej zdetronizowała potęgą geniuszu swego starsze pokolenie, strąciła z kurulnych krzeseł na Parnasie owe sędziwe postacie tak zwanych Klasyków, bo niezaprzeczenie o całe niebo wzniosła się wyżej w sztuce swojej, odsłaniając nieznane dotąd ducha ludzkiego głębie i wyżyny, sami Klasycy poufnie między sobą się przyznawali, że zostali pokonani. Wszelako ci wyżsi od nich geniuszem Romantacy zatracili za to tego praktycznego, obywatelskiego ducha, jaki tamtych do końca ich długiego zwykle żywota nie odstępował, bo i najcelniejsi z młodych poetów byli już wykolejonymi ze społecznego życia jednostkami, podczas gdy tamci starzy do końca zycia na swych pozycyach wytrwać umieli. I dlatego też dzisiaj, kiedy od jednych jak i od drugich dzielą ich nas groby, kiedy ich wzajemne walki, duchowe i literackie utarczki już nie rzeczywistością są ale historyą, i zarówno opłakujemy ojców jak i synów; gdyby tak łaskawy Bóg nas zapytał: których wam wskrzesić? wołałbym mieć wskrzeszonych ojców niźli syny; bo i cóż narodowi pomogą wielcy wieszczowie, jeśli nie ma w nim tęgich obywateli.

Dość przeczytać małe trzy książeczki Lucyana Siemieńskiego, zlustrować z nim razem „Obóz klasyków,“ rozglądnąć się w tej jego galeryi *„Literackich Portretów:“* Kajetana Koźmiana, Franciszka Morawskiego, Franciszka Wężyka i t. d., z lśniącej mozaiki własnych tychże listów misternie złożonych, żeby pomimo wszelkich zastarzałych prawideł ich estetyki, przy których oni tak silnie stali, jak dziś przy najświętszych zasadach, mało kto stać umie, żeby pomimo całego ich Horacyuszowsko-Wirgilowego starowierstwa literackiego, tych mężów na zawsze pokochać. Bo cóż, że się mylili nieraz w estetyce, kiedy za to po za wszystkiem kryje się u nich zdrowa konserwatywna myśl polityczna, kiedy we wszystkiem widać u nich zawsze obok wyższego polotu ducha, i stałość zasad i moc wytrwania. A nawet i w poezyi, pomimo tryumfu tak zwanych Romantyków, którzy na długie lata zostali panami sytuacyi w sercach całego narodu, nawet i w historyi wielkiej epoki naszej poezyi, chronologicznie wziąwszy, ostatnie słowo wyrzekł najzagorzalszy, najwierniejszy z klasyków Kajetan Koźmian, którego największy poemat „Stefan Czarniecki“ wtedy się ukazał, gdy już i Mickiewicza i Słowackiego nie było na ziemi, a Krasiński by nad grobem. Koźmiana muza wszystkich przeżyła, on dopiero jako 80-kilkoletni starzec swój zawód pisarski wraz z życiem zakończył, i tu znowu choć wartość jego wielkiej epopei pod względem poetycznych piękności daleką jest od *Wallenroda* i *Pana Tadeusza*, to jednak wysoki nastrój poematu, czysty i potoczysty język, a nadewszystko głęboka na absolutnej prawdzie moralnej oparta treść tego utworu, stawia go wysoko, jako jeden z pomników naszego języka, i tak zwany klasycyzm naszej literatury kończy w nim swoją rolę, jeśli nie tryumfująco, to zawsze z honorem.

Właśnie kiedy *„Czarniecki“* był już na ukończeniu, a przynajmniej „sporo na krosnach autora zasnuty“ i może nawet wskutek tego około 1845 roku zawiązała się stała korespondencya między Kajetanem Koźmianem, spędzającym w Piotrkowicach, majątku rodzinnym swe sędziwe lata, a Franciszkiem Wężykiem przemieszkującym w Krakowie. Korespondencya ta, ciągnąca się od 1852 do 1856 roku, to jest, aż do samej śmierci Koźmiana, wymiana myśli dwóch najstarszych klasyków, którzy obydwa w dozgonnej przyjaźni z dawnemi

wyobrażeniami swemi płodną epokę romantyzmu przeżyli, i na jej schyłku w tem samem kole zapatrywań o tych samych niemal przedmiotach i oczywiście tym samym językiem, jakby za dobrych czasów swoich między 1820 a 1830 rokiem dalej sobie rozmawiają, jest ze wszech miar bardzo ciekawym zabytkiem niby żywcem z jednej epoki w drugą przeniesionym. Kajetan Koźmian jest zupełnie ten sam i po roku 1850, jakim był po pierwszem ukazaniu się *Ballad* i *Romansów* Mickiewicza; Wężyk już nierównie więcej pogodził się z nowszemi wyobrażeniami o piękności w Poezyi i jej zadaniu, korespondencya między nimi jest więc jakby dalszym ciągiem dawnego Klasyków z Romantykami sporu, jakby echem jego po trzydziestu leciech, echem dalekim wśród grobowej ciszy, bo już i stara i nowa poezya u nas zamierała. Korespondencya ta (listy Koźmiana wszystkie, Wężyka niektóre) dostała się w moje ręce z łaski wnuków obydwu sędziwych poetów p. p. Stanisława Koźmiana i Stanisława Tomkowicza; za ich to więc zezwoleniem ogłaszam z tego zbioru listy w całości lub te z nich ustępy, które ogólny mogą wzbudzić interes, sądząc że i łaskawi czytelnicy przyjmą wraz ze mną w piśmie naszem ten miły przyczynek do historyi naszej literatury z wdzięcznością dla tych, którzy nam go ze swoich papierów familijnych udzielić raczyli.

Piotrowice, 20 grudnia.

Dawny mój stale łaskawy, a bardzo szanowny dla mnie kolego! Jakże ja żałuję, drogi przyjacielu, że tak daleko jetem i od twojej osoby i od twego towarzystwa. Ty mnie pierwszy niezazdrosnem sercem jak brata w literaturze narodowej uczciłeś pięknym i nader pięknym anakreontykiem, który mój syn w zbiorze pamiątek po mnie, twoją ręką pisany, troskliwie chowa. W innych czasach, w innem towarzystwie, w innym duchu pracowaliśmy wspólnie, przędliśmy dalej osnowę powierzoną nam przez Naruszewicza, Krasickiego, Trembeckiego, wspólnie z Woroniczem, Dmóchowskim, Osińskim, Niemcewiczem pracowaliśmy pod godłem:

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże.

Jeden Brodziński poczciwem sercem i nieuprzedzonym umysłem oddał nam sprawiedliwość. Cała nowa generacya nie przestaje na nas warczeć, szczekać, dlatego chociaż piętnaście lat mija, jak się z sobą nie widzieliśmy, jeden przyjęliśmy system, ubolewać i milczeć, to jest pisać swoje, ale nie wydawać, póki wygnaniec tej ziemi, smak dobry i rozsądek zdrowy, z wiekiem do głów dziś oczadziałych nie wróci, a nowego plemienia w dalszem pokoleniu nauką nie oświeci i z umysłowego szału nie uleczy. Biada naszej literaturze, jeżeli to, co dziś jest, dłużej potrwa. Czytałem piękne twoje wiersze do Liszta, poznałem w nich twórcę tylu pięknych płodów w różnych rodzajach narodowej poezyi; młodszy jesteś odemnie, ogień wieszczy jeszcze w całej mocy odezwał się przez twoje poprawne i gładko brzmiące pióro Ja w moim sędziwym wieku już stygnę, już gasnę, i nie raz sam z siebie się śmieję, gdy spozieram na mój literacki warsztat i zasnutą na nim osnowę do poematu bohaterskiego; nawykłość do pracy i myślenia ciągle na nim przędzie, już się nabazgrało 10 pieśni, gdyby Bóg pozwolił jakich parę lat życia i ognia w popiele zimnym tlejącego nie zagasił, możeby się dokończyło; ale czyż dosyć jest napisać i dokończyć. Odczytanie, osądzenie, uporządkowanie. ogładzenie, więcej i mozolniejszej pracy potrzebuje, aby z tych cząstek pojedynczo wyrabianych mógł się utworzyć jaki taki posąg, zachowujący proporcyę i harmonię sztuki. Gdzie pomoc? gdzie rada zdrowa? gdzie bezstronna i surowością swoją przychylna krytyka? Ty szanowny mój łaskawco jesteś daleko i nie bywasz w tych stronach. Tybyś był pierwszy, któremubym powierzył, na któregobym się spuścił i według którego uwag chętniebym mazał, a może nawet spalił. Morawskiemu czytałem, a raczej sam czytał; on mnie zachęca, lecz ja surowszego wolę krytyka; gdzież go szukać w królestwie? wszyscy nam współcześni w grobie. Do Kruszyńskiego pisałem; lecz mój list zastał go na śmiertelnem łożu. Nie był on poetą, lecz był doskonałym rymotwórcą i wybornym klasycznych poetów tłumaczem, był uczonym i dobrze uczonym, a zatem mniej śmiałym. Młodość tylko i głupstwo są zrozumiałe i śmiałe. Jeżeli Władysław Bielski odwiedzi mnie, jak się obiecuje, przeszlę ci niektóre wyjątki Czarnieckiego, szczególniej odwiedzenie grobów przez Karola Gustawa, abyś łaskawie porównał z miej-

scowością, położył swą krytykę, poprawił gdzie znajdziesz potrzebę. Straciliśmy w tym roku wspólnego przyjaciela Józefa Krasińskiego; nie spodziewałem się nigdy, że mnie do grobu uprzedzi ... szlachetnym uczuciom i prawidłom honoru narodowego nigdy nie ubliżył, i pod tym względem zacny wzór dzieciom w spadku zostawił. Żałuję go mocno, żałuję zacnej pani Józefowej, tak przykładnie przywiązanej do niego, i radbym wiedzieć, jak jej się powodzi. Miał on w zbiorze swoim pamiątki zeszłych czasów, ręką Sokołowskiego robione, mające dwojaką cenę, i z ręki tego utalentowanego rysownika, i z osób składających podówczas towarzystwo, z których wielu zasłużyło żyć w potomności. Jest w tym zbiorze żywy Osiński, Morawski, Turno, Wyleżyński, Linde, Marcinkowski, nawet i mnie tam przyczepiono; szkoda, żeby to zaginęło. Jeżeli młodzi panowie nie przywięzują do tego zbioru ceny, nie możnażby od nich dostać? Jeżeli zachować pragną, nie możnażby przynajmniej niektórych przelitografować, chętniebyśmy na to poświęcili składkę, gdyby tylko dla samego Marcinkowskiego, którego dziwotworne płody i tyle dowcipnych satyr na nic, tylko jego postać i fizyognomia tak pyszna, buńczuczna i zadowolona z własnej głupoty wytłumaczyć może potomnym, ile razy żałował Niemcewicz, że Bielawskiego portretu nie zachował. Potomni gdy czytać będą z politowaniem tyle teraźniejszych bredni, jakże będą wdzięczni tylu twórczym geniuszom, że na dziełach swoich umieszczają swoje portrety, ledwie nie z napisami: Ecce homo! Czytam w gazecie francuzkiej o śmierci Antoniego Ostrowskiego; znaliśmy go dobrze obydwa, kolegowaliśmy z nim kilkakrotnie; Francuzi nazywali go jedną z illustracyj polskich. Widziałem portret jego w centuryi wielkich ludzi, wybitych w Paryżu obok Kniaziewicza i Kościuszki; równają go z Lafaietem. Czemże jest historya przez społecznych o współczesnych pisana? potargają potomni te zwodnicze sidła, na ich dobrą wiarę zastawione, możnaż będzie powiedzieć:

Potomność w nierozsądku nie wpadnie sromotę,
By czciła bohaterów wielkich za dwa złote.

Vale et me ama

K. Koźmian.

Kraków, 29 grudnia 1845.

Zacny, poważny cnotami, zasługą i wiekiem kolego, a gdy tego dozwalasz, dodam z czystem sumieniem — przyjacielu!

Rozradowałeś me serce odezwą twoją z d. 20 b. m. i r, dotknąłeś biegłą twą ręką struny, która na pociechę mej starości dźwięk luby wydała. Stanął natychmiast przed oczami mojemi poczet mężów, śpiących już w grobach, a między nimi dojrzałem letniego śpiewaka naszej ubogiej ziemi. Uczył on nas i przyszłych następców, jak ją uprawiać i kochać; a ci, co pałali silnem uczuciem dla cnoty, słuchali bacznie słów jego i ryli w swojej pamięci te dźwięczne rymy, które powtarzać będą wnukowie. Przeszły te czasy, tak jak przejdą dzisiejsze, a gdy się obejrzym do koła, czemużbyśmy sobie powiedzieć nie mieli, że z owych mężów, którzy usiłowali pracować dla innych, już tylko *nos duo turba sumus*. Im nas mniej pozostało, tem niezłomniej trzymać nam się potrzeba. Dlatego wypraszam sobie chwilki wolniejsze od ciągłej pracy, przy której śmierć nas zastać powinna. Pochlebiam sobie, że nie odmówisz prośbie dawnego kolegi. Może nasze ostatnie słowa będą miłą dla następców spuścizną. Ja zawsze gotów do odpowiadania na tak pożądane i pocieszające odezwy.

Że moja ostatnia z dnia 15 lipca tak późno doszła rąk twych szanownych, sprawiło uprzejme oświadczenie jednego z naszych rodaków, udającego się z Krakowa w Lubelskie. Przyrzekł on ją sam wręczyć w Piotrowicach. Snać nie mogąc dotrzymac, powierzył ją późno poczcie, która podobno najlepszą nam będzie drogą do dalszych związków listownych, jeżeli na takową zasłużę. Nie przeto zrzeknę się snadno tego, co mi przez Władysława Bielskiego przyrzekasz; owszem dopraszam się mocno o rychły skutek tej obietnicy, na którą szczerem sercem odpowiem. Kto wie, czyli dożyję objawy poematu twojego, niech więc go poznam, chociaż w niektórych wyjątkach. Znasz mię od lat 30. Może zbyteczna szczerość w mem zdaniu sprawiała, że całe życie spędziłem sam z sobą. Lecz to, co jest dla mierności straszliwe, sąd zdrowy — tego się nie ulęknie twe pióro. Ludźmi jesteśmy. Jakże jest pożądana dla

prawych chęci z prawego serca i sądu przestroga? Widzę, żeś jej pożądał, kiedyś jej szukał od Kruszyńskiego, nie mogąc znaleźć gdzieindziej. Pogasły przed oczyma naszemi nawet pomniejsze gwiazdy, co przyświecały niegdyś na zaciemnionem niebie literatury ojczystej. Nie wszystkim czas obecny wymierzył sprawiedliwość, na którą nigdy prawdziwa zasługa oglądać się nie powinna. Tak było i dawniej. Dlatego jeden z wieszczów napisał:

„Patrokl w piasku legł pod Troją,
A Tersyt do domu wraca!“

Lecz ci, co się czują na siłach, *iż służąc poczciwej sławie*, mogą dorzucić ze swej strony jakie ziarnko do budowy gmachu ludzkości, patrzą bez zawiści na wyższe od swoich zdolności, podają im ochotną rękę, i cieszą się z ich objawu, bo im o rzecz idzie, nie o to, kto ją przed sądem świata prowadzi. „Ciesz się (rzekł gdzieś tam Szyller), że pieśń z niebios pochodzi, że ci wieszcz pieje, tak jak go muzy natchnęły. On jest szczęśliwy; ty bądź uszczęśliwionym.“

Nie tak postępują dzisiejsi. Nie obwiniam ja wcale złego ich smaku. Smak bowiem jest wynikłością każdej indywidualności, My barszcz wolimy na zupę, Niemcy wodziankę. Szczęść Boże! ja wolę zostać przy swojem. To tylko dolega, że dzisiejsze pokolenie obrzuca błotem tych, którzy są jego ojcami. Wszak dzień wczorajszy jest dzisiejszego rodzicem, a w najdawniejszem prawie pisanem jest zastrzeżona kara okropna dla tych, co uchybiają czci rodzicom należnej. Dlatego niedojdą oni starości, bo ciężyć będzie nad nimi grzech wielki czyli raczej przekleństwo! Z rozlicznych sporów pismiennych, które nam powódź obecnych czasów naniosła, wykazuje się jasno, że tym panom chodzi jedynie o formę. Ale ten garncarz, który ulepić zdoła okrągłe naczynie, potrafić zdoła i owalne ulepić. Tu o to idzie, co w garnku. Gdy mi podadzą nawet z etruskiego kubka letnią wodę, ja dawnym obyczajem przechylę się na stronę wina, choćby je z zapleśniałej podano butelki. Gdy się objawił autor Grażyny i tylu innych tak znakomitych płodów, ja nie trzymałem z Osińskim, który je dla obcych sobie kształtów wyszydzał. Lecz oswojony z obcemi płodami, nie widziałem w naśladowaniu Anglików i Niemców tego ro-

dzimego złota, którego odkopanie przyznane mu było od całego pokolenia młodzieży. Więc formy greckie i rzymskie mają pójść na ogień wieczny, a gotyckie znane zkądinąd i zinąd piękne mają jedynie górować! Niech i tak będzie, kiedy to smakowi wieku dogadza, a teraz poszukajmy panowie i w tych i w owych treści! Patrzmy wszelako na skutek! z owego motłochu piszących, jedno tylko imię na wierzch wypływa. Inne znakomite i świetne, znane od swoich i obcych. Niech się tem mierność nie pociesza, że dziś blask jego zgasiły nieco śmieszności, których się uchwycił M., że mu uwłoczą opaczne sądy, które na wielu naszych pisarzy w swoich objawił prelekcyach. Poeta nie będzie nigdy dobrym retorem. Tę rolę podrzędną zostawić należało innemu. Duma, którą się wyniósł nad innych, oślepiła człowieka. I nie dziw — wszak ona strąciła z nieba aniołów. Dziś drugie imię wzżej jeszcze i świetniej jaśnieje. Że po tych, którzy poprzednio pisali, jawią się gwiazdy wyższego rzędu, to tak być powinno i musi. Syn być powinien w swym czasie mędrszy od ojca. Lecz gdy pogardzi tym, od którego pochodzi, Bóg go ukarze i zamieni w Famulusa jednego wizyonaryusza — że nie powiem oszusta.

Zawstydziłeś mię tem, co mówisz o zacnym, prostym, cichym i poczciwym Brodzińskim, że on nam jeden sprawiedliwość wymierzył. Ja o tem nie wiem bynajmniej Unikałem przez całe życie poznania sądu współczesnych o sobie, bo ten nie do nich, łecz do potomnych należy. Według mojego mniemania, pisarz wtedy dopiero może być ocenionym jak się należy, gdy jego zwłoki złożą na mary. Już on natenczas nie posunie wyżej swoich zdolności i nie sprostuje swych błędów. Niech jego sędzią będą cokolwiek cierpliwi; przyjdzie ta chwila, a wtedy niech piszą swoje wyroki sine irra et studio.

Stoją już pod tym sądem nasi koledzy, Ostrowski i Krasiński. Na pierwszym jest przykład widoczny, jak małym kosztem można zostać wielkim człowiekiem. Lecz gdy mowy pogrzebowe przebrzmieją, skończy się na tem, co ktoś w dobrym przypadku napisał: „Zadzwonili — zakadzili — zabeczeli — zapomnieli.“ Bliższe stosunki łączyły mię z poczciwym Krasińskim, byłem mu prawie spółczesnym, poglądałem zbliska na jego chwile ostatnie; śmierć jego żywo mię dotknęła. Nie wszedł on do centuryi polskich znakomitości, a może więcej

od innych na miłe wspomnienie zasłużył, bo wielu dobrze, a nikomu nic złego nie zdziałał. Wdowa po nim spędza dni w grubej żałobie. Nie jestem dotąd pomiędzy tymi, których przyjmuje. Ale mam liczne z tą rodziną stosunki, ażeby z czasem owego rysunku Sokołowskiego, o którym wspominasz. Jeżeli oryginał musi dla następców pozostać między zbiorami ojca, postaram się rychlej czy później o kopię, i tę przez pewną sposobność do Piotrowic przesłać nie omieszkam.

Niech żyje i odradza się w pieniach twoich nasz dzielny pan Stefan, pracuj szanowny przyjacielu ciągle i żwawo, nad zostawieniem potomnym tego wielkiego a może jednego w dziejach polski obrazu. Skończysz go pewnie, bo Bóg błogosławi szlachetnym zamiarom. Co tylko możesz udziel z twego poematu temu, który może ci nie stanie do rady, tak jakby to zdziałał Kruszyński; lecz dopełni twej woli szczerze i z serca, tak jakby mu o własne dzieło chodziło.

I ja podobnie tobie (ale nie śmiej się proszę) jestem bliski ukończania dramatycznego obrazu pod napisem: Bezkrólewie. W nim chcę wystawić ów moment tragiczny naszych dziejów, gdy po wygaśnieniu Jagiellońskiej rodziny zeszła dla Polski tak zwaną złota wolność wybierania królów; w nim się okazuje po raz pierwszy na obszerniejszem polu owa walka i znakomita figura Jana Zamoyskiego; w nim odgrywa rolę niepoślednią już rozzuchwalona szlachta, której niestety Jan Zamoyski tak nieszczęśliwie wówczas dotuszył. Cztery (nie śmiem powiedzieć akty) niechaj więc będzie części, są już pogotowiu. Idzie mi jeszcze o piątą, która usnuta w głowie, czeka sposobnej pory, by się na papier wylała.

Nie przyganiaj zatem twojemu listowi; nazwałeś go długim, ten który masz przed sobą, przeszedł podobno zwykłej odezwy granice. Niech mię wytłumaczy dawność stosunków, pochopność przedmiotu i zwykłe starym gderalstwo.

Vale et me ama

Fr. Wężyk.

Piotrowice 20 stycznia 1846 r.

Szanowny mój dawny kolego — a dozwól dodać łaskawy na mnie przyjacielu! — Jeżeli moja odezwa sprawiła niejaką twemu zacnemu sercu przyjemność. Ileż mi twoja nie przyniosła radości i rozkoszy, czytając ją i odczytując, uczułem się w dawnym moim żywiole, ujrzałem się otoczonym atmosferą tego wszystkiego, do czego przez pół wieku nawykłem, a czego zgłodniały umysł ku pokrzepieniu mojej starości potrzebował. Dzięki więc ci — dzięki tysiączne i najserdeczniejsze uściśnienia, — że twoje pióro nie ograniczyło się na jałowej odpowiedzi, nigdy do mnie zadługo napisać nie potrafisz, choćbyś nawet Dziennik twego życia w listowną przelał rozmowę. Nie mniemaj, abym ja zaślepiony w moim domowym zaciszu nie chciał, lub zaniedbał wiedzieć o tobie, pierwsze moje pytanie do przybywających z Krakowa było o ciebie; nadto drogie długie i może nieco pochlebne wspólnictwo pracy łączyło nas z sobą, aby z ubiegłemi czasami wspomnienia tak ścisłych, a dla mnie zaszczytnych związków z prawego serca wygasły — o prawym mężu, o znakowitym pisarzu, o autorze Glińskiego i Władysława bez występku i ubliżenia sobie zapomnieć niepodobna. I dzisiaj nawet acz oddalonych, połącza jednakowość uczucia, przekonania, sądu, cierpienia i ubolewania, nad obłąkanym plemieniem, milczymy, bo rozsądek i uczucie własnej godności nie każe się narażać na szarpaninę drobnych szczeniąt wychowanych w złości i zajadłości, rozdrażnionych nieudolnością, z którą na wszystko dawne szczekają. W tem samem źródle widzę ja początek ochydy literatury naszej, w jakiej i ty go uzierasz; młodzież pod okiem naszem wychowana uniesiona bałwochwalczą czcią dla litewskiego fałszywego bożyszcza wyssała z pism jego, niestety talentem nacechowanych, truciznę dla moralności, dla poezyi, dla literatury, — skazała sławę narodową, targnęła się na groby ojców, na świętość pomników naszych, i ojcobójczą rękę na swój ród podniosła.

Chociażby mistrz tej zabójczej szkoły wyszedł ze szpitala szalonych, do którego wtrąciła go jego *Insana rabies i fanaticus Error,* nie potrafi on już naprawić tego, co nabroił, stracił katedrę literatury słowiańskiej, nie mogąc być użyteczną dla plemion tego rodu — obłąkał obecne plemię, a może i pó-

żne jego pokolenia, bo jakkolwiek drogi przyjacielu, wskazujesz mi jakieś o nim nadzieje, jakieś w nim gwiazdy, ja czytając ich pisma, widzę tylko trzaskające ręce, które naiskrzywszy gasną wśród dymu cuchnącej siarki, złe, a ztąd ulubione, że łatwe do naśladowania wzory, ponętne, bo pochlebiające pełzającej mierności, głębiej jak mniemasz zakorzeniają się, w młode a zarozumiałe umysły. Sama ta gwiazda, którą mi wskazujesz (Zyg. Krasiński), która istotnie czystym światłem połyska, lękam się, aby takiego wpływu nie wywarła. Znam ja tego prawdziwego geniusza wielkie zalety, oceniam wartość, czucia uwielbiam, umysł i naukę podziwiam, przecież ten jeniusz tak uczony a tak skromny, który się tak doskonale zna na piękności, widzi ją, wynajduje w obcych pismach, i unosi się nad nią, czyliż nie zasługuje często na zarzut, Video meliora proboque deteriora sequor, może to jest skutek dysharmonii, między mdłym ciałem a silną duszą, między umysłem a sercem; może kiedy pisze słabe ciało gorączka w nim pali, a natężenie nerwy rozstraja, kiedy w poezyi trzeba czerstwego ducha i zapału umysłu, a nie gorączkowy krwi, która ten umysł osłabia. Czyż Szekspir nie namnożył u nas bazgraczy, gdy się do jego naśladowania żaki szkolne rzucili, geniusz tylko może walczyć z geniuszem. Ty pierwszy byłeś kochany przyjacielu, coś ziomków twoich z uprzedzenia wywiódł, i zacząłeś obznajmiać ich z klasycznemi pięknościami temi, nieklasycznego a jednak wielkiego poety, ale do tego zawodu przystąpiłeś z silnym umysłem i wytrawionym smakiem; i powiodło ci się szczęśliwie, boś rozprzestrzenił formy, a pięknościami ich napełniał, a nigdyś prawideł zdrowego rozsądku i czystego smaku nieobraził, z tobą i jabym do tej szkoły chętnie przeszedł; bo jak słusznie nie idzie o to jaki garnek, ale co w garnku, przeszedłbym, gdybym w sobie czuł zdolność do dramatyki, a dawne nawyknienia nie stały się nałogiem. Ale na bok poezya, powiedzmy sobie, że barbarzyńcy napadli Parnas i rozpędzili nadobne muzy, wprowadzili Sybille z najeżonemi włosami i z wykrzywionemi aż do wstrętu patrzących twarzami podobniejsze, do opętanych szatanem jak do natchnionych Bogiem. Jeżeli w religijności szukają natchnienia, apokalipsis stało się ich hipokreną.

Mieszkając w Krakowie czytujesz pisma peryodyczne na przestrzeni naszej wychodzące, Romanse, Powieści, Humorystyki i t. d. Co powiesz o wyborze przedmiotów, o języku, o stylu, o sztuce pisania, o duchu. Ja z początku wszystkie trzymałem jakie w Warszawie wychodziły i wychodzą, teraz żadnego nie trzymam, bo żółć we mnie burzyły, szczególniej artykuły, przez obojej płci Pseudo Heglów, i Pseudo Szelingów umieszczane, co o nich myślę wylałem w liście do Lindego; wzywając go, aby nowy tom wyrazów dla swego słownika dodał dla ułatwienia nam zrozumienia tych mądrych rozpraw, prosząc, aby pismo moje odczytawszy schował lub spalił, przeląkł się i wiernie mi dotrzymał słowa. Przyślę ci to pismo przez Władysława pod tym samym warunkiem, bo nie chcę, aby moje sędziwością okryte ironie, obrażona surową prawdą prostacka zarozumiałość, po bazgraninach swoich, zbezczeszczała, ztyrała. Przyślę ci całą pierwszą pieśń Czarnieckiego, i z ilu będę mógł pieśni wypisy ze spójnikami prozą, dla zrozumienia całości. Uprzedzam cię szanowny łaskawco, że jeżeli w tym poemacie znajdziesz nieco starożytności, znajdziesz więcej starości. Zacząłem jak Wirgiliusz, trudny to zawód przy nim się utrzymać w moim wieku i z mojemi zdolnościami, jednak nabazgrało się 10 pieśni, dwie zostają na warsztacie, syn mój, mój, Morawski i Zygmunt, wyrzucają mi naśladowanie rzymskiego poety. Odwołują do świeższych form, bronią najmniejszego mitologicznego wspomnienia, pozwalam wymazać to wszystko, jeżeli ma szkodzić efektowi, lecz jeżeli nie szkodzi a pomaga ścisłości wyrażeń, i oszczędza parafrazów, za co by nie miało zostać.

Szukam Tukki i Waryusza do tego pogrobowego dzieła, nie odmawiaj nim być wraz z Morawskim, podeprzyjcie wraz z synem chwiejącą się starca stopę w przechodzie do potomności, która się wkrótce dla niego otworzy. Obiecywałeś wierzę i trzymam za słowo. Zrażony przyjęciem przez narodową publiczność mego ziemiaństwa, może nie powinienem był brać pióra do ręki, — wziąłem, ale nie dla obcego plemienia, — wziąłem zachęcony obcym sądem. Pochwalę się przed tobą, że wyszła w Londynie recenzya zbyt dla mnie pochlebna mego ziemiaństwa z obszernemi wypisami tekstu, wybornem wierszem angielskim tłumaczonego; ten co tłumaczył Anglik, nauczył

się po polsku i z pomocą Polaka, chce przez całkowity wykład zaznajomić swoich ziomków z gospodarstwem polskiem i poezyą; i ciebie to czeka, lub może spotkało; obcy ci hojniej oddadzą sprawiedliwość niż swoi; zakreśli nas do nienarodowych pisarzy wspólnie z Krasickim, Naruszewiczem i t. d., dziękujemy im za to; dum ridant stulti vitia in Contraria curunt.

Czyliż to narodowemi są te powieści, te romanse antyhistoryczne, któremi zarzuceni jesteśmy, w których jak na przekorę świadectwu historyi wydobywają obyczaje, zwyczaje, charaktery fantastyyczne, jakich nigdy nie było w ziemi polskiej, mięszają ignorantia Supina, epoki, czasy, nałogi, przesądy, o cnotach i zaletach ani wzmianki; ochydzać szkalować uwłoczyć przeszłości stało się godłem teraźniejszego plemienia. Czytałżeś Magnuszewskiego *Spisek Piekarskiégo* do którego Chodkiewicza wciągnął; czytałżeś Kobiety polskie w trzech epokach, w których Żembocka, Barbara Radziwiłłowna i Grabowska są wystawiona najobrzydliwszym i bezwstydnym piórem jak trzy tłuki z Nalewek; czytałżeś romans Czajkowskiego pod tytułem Czarniecki, w którym Tetera kozak jest bohaterem gaszącym męstwo rycerzy polskich, za którym wzdychają wszystkie dziewice, a Lanckorońska hetmanowna włóczy się za nim z żydem furmanem i bufonem szlachcicem po nocy sankami; coby na to powiedziała nasza najzacniejsza kasztelanowa Połoniecka. Czarniecki w tym romansie pilnuje dworu, intryg fraucymeru Maryi Ludwiki, synowcowie jego bawią się, skaczą, a Tetera laury zbiera. Ale drogi przyjacielu, kiedy ja się tak jeszcze z moich uczuciów i z mojego przekonania tłumaczę i spowiadam, nie przebaczaj mi i zgrom jak surowy spowiednik, jeżeli jestem w grzechu lub błądzę, kiedy ci się powierzam z mojemi ramotami, bądźże wzajemnym jak przyrzekłeś i pospiesz się z udzieleniem mi twojego utworu, o którym mi piszesz, niech się nim uraduję, ukarmię, nasycę, niech mój umysł odświeżę, pióro naprawię i ukrzepię jak ów prosty żołnierza oręż na Maurycego tarczy; obrałeś bardzo ważną i godną twego umysłu i pióra epokę, dostarczy ci ona kolosalnych figur do akcyi; sama figura Jana Zamoyskiego, sama sobą wyobrażająca gminowładną anarchię szlachecką i dumę możnowładzcy, wielkie zalety i wielkie winy, wielkie zasługi i wielkie błędy wielkie zwycięztwa nad nieprzyjaciołmi i gor-

szący opór królewskiej władzy, wielką sławą i wielkie dla kraju nieszczęścia. Epoka ta pomieszanej świetności z ochydą, pod czyjem piórem, jak pod twojem pomyślniej rozwiązać się potrafi. Czekam, czekam z utęsknieniem tego karmu dla mego zmysłu, lecz i o drugi dla mego serca się upominam; obudziłeś w nim marzenie, że mnie kiedyś odwiedzisz, coby to była za pociecha, za radość dla starego twego przyjaciela, wziąłbym kielich w ręce, znalazłaby się jeszcze jak niegdyś u Orzechowskiego jaka spleśniała butelczyna i jego tirbuchon, jak on zatrzymałbym dech w sobie, aby ją z czarnej pleśni nie odmuchnąć, i zawołałbym wychylając: *recepto dulce est mihi furere amico,* a potem wsadziłbym drzewo na pamiątkę między już rozłożyste jakie tu mają w ogrodzie moim Julian Sierakowski, Osiński i ci wszyscy, co starego rymokletę raczyli odwiedzać w jego ustroniu, patrzy na nie kląb dla mojej rodziny sadzony, rosną drzewa, krzewiny reprezentujące może dzisiaj i moje wnuki, łączą już z niemi i swoje konary i swoje prątki, a tak się utrwala pamięć moich zaszczytów, które zmordowany życiem publicznem do zaciszy domowej uniosłem. Zbyt pochlebnie, zbyt dowolnie opisali ci moje ustronie poczciwy Władysław i zacny młodzieniec Norwid, którego tu wszyscy wraz z tobą pokochaliśmy; cieszę się, że swój talent wykształcił na ziemi klasycznej, stanie się znakomitym równie dłutem jak piórem, jeźli się dobrze o czem nie wątpię, w nieśmiertelne wzory wpatrzy. Chcesz mieć wyobrażenie mojego zacisza, znajdziesz go w ziemiaństwie mojem; skromne, ciche w nim com kreślił to praktykuję wiesźże szanowny przyjacielu, że mnie nawet Sebastyan Badeni w tym roku odwiedził umyślnie zjechał z Warszawy, aby z starym przyjacielem ojca odświeżyć pamięć jego, nagadaliśmy się wiele o przeszłych rzeczach, ileżbyśmy się nie nagadali, ileż sobie nieprzypomnieli, ile niepoufali, gdyby mnie to szczęście od ciebie spotkało, lecz to podobno między moje sny i marzenia policzyć muszę, kiedy i twoje zdrowie się nachyliło, kiedy ci nie pozwala odleglejszych przedsiębrać podróży i kiedy tylko raz w roku odwiedzasz rodzinę swoją na Podlasiu. I ja od kilku lat nie wyruszam się z domu. Cierpienia które mnie czasami boleśnie nawiedzają, przykuły mnie do miejsca; Morawski powiada, że nie na kamień choruję, ale kamieniem siedzę; szczęśliwszy

odemnie kochany przyjacielu żyjesz w swobodnem miejscu, obcujesz z uczonymi, masz biblioteki, książki, masz wszystkie żywioły, wszystkie jakie mieć można w tych czasach przyjemności towarzyskie. Ja się ograniczam towarzystwem młodej rodziny i starych książek. Odwiedzają mnie czasem sąsiedzi, zacny Jł. Rochland wasz Krakowianin, Stadnicki, Juliusz Dłuski, oświecony proboszcz ex Piar. Baranowski, czasem pani Rzewuska i Jezierska. Oto całe moje towarzystwo, koresponduję jedynie z Małachowskim, z Kosińskim, z Krasińskim, z Kopeckim, a za każdym rokiem czuję, że samotnieję, nie żal będzie umierać, obejrzawszy się na ubytek tylu przyjaciół, żal tylko będzie zostawić poczciwą rodzinę. Z tego długiego i chropowatego listu wnieś szanowny łaskawco, czy mi jest miło rozpocząć, czy będzie miło prowadzić z tobą korespondencyą, pisuj ile ci czas i sposobność pozwoli, precz inne wszelkie doniesienia, proszę wiadomości o sobie o literaturze, to nas obchodzi, o tem rozmawiajmy.

Vale et me ama.
Kajet. Koźmian.

Czy mi jest miłem, czy pożądanem na pociechę starości to obcowanie listowne z tobą szanowny mężu niech cię przeświadczy moja skwapliwość z jaką się biorę do opisu na odezwę z dnia 20 b. m. i r. Odebrałem ją przedwczoraj i po jej dwukrotnem odczytaniu długo nie mogłem użyć spoczynku; śnił mi się nawet nasz Stefan. Widziałem go chodzącego po tem mieście w którym rozwinął całą tęgość swego dzielnego umysłu. Tu on rozważał bacznie jakiemi środkami ma dalej popierać upadającą już sprawę, ztąd on przekonał dumnego Szweda, że nie mury zbawią sprawę: lecz ludzie, że wypuściwszy z nich jednego męża musiał sam z czasem swę zdobycz na którą tyle się sadził, uronić.

Myślałem następnie nad krótkiemi zanadto któreś mi raczył udzielić wyjątkami i dziś już zacznę to do czego mię wyzywasz; to jest uwagi. Możebym zdanie młodych podzielił, co do porównania Czarnieckiego z Hektorem.

Kto wie czybym zaczął od tego „Muza śpiewam i t. d.“ czyliż mowca potrzebuje zawiadamiać słuchacza że mówi? Czyliż tak trudno zdobyć się temu co już 10 pieśni ma w pogotowiu na zwrot inny, nie tyle otrzaskany i rzeczywiście zaśpiewać bez ostrzegania o tem że śpiewa. Otoż początek tego zawodu do którego mię wezwałeś. Może to są uwagi za wczesne przed poznaniem całego dzieła, może je cofnę z czasem, może powiesz z Krasickim; „I wasze zmodniał Ojcze Bonifacy,“ przecież winienem to był najszczerszej mej chęci, i obowiązkom względem dawnego przyjaciela i kolegi. Wątpię czy się zarówno wywiążem z Morawskim z włożonogo na nas obowiązku. Ja byłem zawsze z innej parafii. Szacuję wielce jego zdolności, czytam z przyjemnością wydane i nie wydane pisma, lecz zdania jego zwłaszcza o współczesnych są podległe zmianom, a jeźli i dobre które tkwi w ludziach nie od nic, lecz z góry pochodzi, nie czuję w sobie wygórowania owej zdrożności o której tak pięknie wyrzekłeś·

„I tę zazdrość polskiego rodu wieczną wadę.“

Tego nie umiałem pojąć, zwracając uwagę na rzecz nie na ludzi co ją objawiają. Kto lepiej odemnie rozwiązał zagadnienie sztuki, temu ja cześć należną oddałem. Jeżeli on to wziął do siebie to wielka szkoda. Bo je w nim tylko złożyłem hołd Stwórcy, który go ukształcił na pociechę ludzkości. Narzędzie zawsze zostanie narzędziem, kiedy się rozpływamy nad pieniem słowika, wielbimy Boga nie szarą i niepozorną ptaszynę.

Podzielam zupełnie twe zdanie względem większej części dzisiejszych piśmideł. Czajkowski, którego tak głośno wielbiono mało ma tchu na powiesci większego rozmiaru. Dość mu się udały powieści kozackie. Okrzyknięto go znakomitym pisarzem. Uwierzył temu i wiele tomów nabazgrał, a zapieczętował swą nieudolność Czarnieckim. Nie można czytać tego romansu bez wstrętu, przebaczając nawet obrazom języka! Lecz jego płody wylęgły się na obcej ziemi i pod wpływem zupełnie fałszywych wyobrażeń i zasad. Cóż powiesz o Kraszewskim, który nas w kraju swojemi niedojrzałemi płodami zarzuca? Niech sobie pisze na kolanie powieści i obrazy dla księgarzy, którzy muszą mieć ponętne nowości na kijowskie kontrakt. Jest to spekulacya tak jak są inne, gdzie najczę-

ściej chodzi o złudzenie tych co mają ruble ze strony tych co z nich korzystać pragną. Lecz czy się godzi pisać poemata nibyto epiczne, z taką wzgardą powszechności, z taką lekkomyślnością, że się zdaje, iż autor sobie zamierzył napisac niedorzeczność umyślnie, która przecież znajdzie swych chwalców? Coby powiedział Kopczyński na tę poniewierkę ojczystej mowy, któraby była nieodpuszczoną nawet w studencie. Wytknął mu nie dawno *Tygodnik Petersburgski* wszystkie wady stylu — wszystkie w ojczystej mowie usterki — wszystkie kumunały i powtarzania, któremi swe ostatnie poema „Witoldowe boje“ przepełnił, ale ta krytyka jeszcze mi się zdaje łagodną. A przecież świat cały uważa i uznaje K. za wielkiego pisarza, mogą mu pewnie tę zaletę przyznać fabrykanci papieru, nikt bowiem więcej go nie zabazgrał bezkarnie.

Jeżeli zwrócimy uwagę do dawniejszych czasów, było to i przed nami, było i w naszej epoce. Ksiądz Dmochowski założył u Pijarów szkołę rymotwórców, podawszy im za kodeks swą rymotwórczą sztukę.

„Lecz w sztuce niebezpiecznej odlewania wierszy,
„Ten musi być ostatnim, kto nie będzie pierwszy.“

Z tej szkoły wyszedł tłum wierszorobów i wierszokletów, jak z jakiego znakomitego warsztatu. Najcelniejszym w tej tokarszczyznie okazał się Feliński. P. Jan Tarnowski, jako siostrzan Czackiego, przyznał mu palmę poety. Zgłębiwszy jego pisma, cóż w nich znajdziem na pociechę prawdziwego bóstwa poezyi? Oto czystą wodę zaprawioną malinowym sokiem, piły ją z roskoszą nasze piękne i niepiękne panie, rozpływał się nad nią stary wierszoröb Wyszkowski. Dziś już inne zdanie przeważa, bo przyszedł wiek wymagający czegoś więcej, jak słów pięknie ułożonych. Ale nikt z ówczesnych nie ważyłby się targać tak jak dzisiejsi na czystość i powagę języka. I w tem leży prawdziwa naszych pisarzy zasługa. Mówiąc o Szekspirze, przywiodłeś mi na pamięć mój los pośród współczesnych. Gdym się ośmielił w poważnem gronie Towarzystwa P. N. nadmienić o tym wielkim poecie, racz sobie przywieść na pamięć, jak byłem przyjęty z mem zdaniem przez areopag warszawski! Mam ja pod ręką piśmienne tego dowody. Poczytano mię za barbarzyńca, i tylko uprzejmość kolegów oszczędziła mi tego

imienia. Lecz było ono w zdaniu najpoważniejszych ówczesnych pisarzy. Gdym wracał do domu, nasłuchawszy się zdań tylu mojemu przeciwnych, młody natenczas i dość z natury nieśmiały, powiedziałem sobie: ja głupi. I to mię zwracało z drogi, po której nieraz miałem ochotę iść dalej. Cóż wywołał sąd opaczny o największym może poecie? Wstyd jest, ale pomiędzy sobą powinniśmy mówić otwarcie. Oto zupełna nieznajomość literatur obcych narodów. A przecież i one miały znakomitych, a może znakomitszych od naszych pisarzy. Pan Ludwik wystąpił na katedrę literatury ogólnej, znając jedynie rzymskich i cokolwiek francuskich pisarzy, nic on nie wiedział o Niemcach, Anglikach, Hiszpanach, a że ich nie znał, więc gardził, a przecież p. Ludwik długo stał na świeczniku warszawskim i ma w Piotrowicach poświęcone dla siebie drzewo. Taką to drogą i dawniej przechodzono do nieśmiertelności. A największy poeta naszych czasów co do pomysłów i duszy Staszyc, leży zapomniany na Bielańskim cmentarzu. Ale na to są dzieje, ażeby z czasem oddały sprawiedliwość prawnej zasłudze. Komu kadzono za życia, ten już dank odniósł i nie powinien żadnej czci wymagać dla swoich popiołów. Kogo to ominęło, może się od potomności tej dopomnieć nagrody [1]).

Słusznie oceniasz moje położenie literackie w tem mieście. Są na zawołaniu księgi, są tu i ludzie, z którymi można niekiedy o rozmaitych przedmiotach pogwarzyć. Profesor Wiszniewski ma wielki zapas wiadomości, które wykłada jędr-

---

[1]) Ziemiaństwo twoje wielkiby skutek sprawiło, gdyby wyszło na czasie. Długo na nie powszechność nasza i niecierpliwie czekała. Tymczasem zmienił się smak, a do niego musi się zastosować poeta, jeżeli chce być od obecności czytanym. Żałuję bardzo, żem się na starość dopiero zajął angielskim językiem. Nie brakło ochoty, brakło pamięci. Ciekawy byłbym, jak się wydaje polskie ziemiaństwo w tak odmiennej od naszej mowie. Wszakże twe dzieło zostanie na zawsze monumentalną pracą z tak wielu względów, i przyjdą czasy, że ją ocenią jak przystoi prawe serca i nieobojętni na rzadkie zjawiska sztuki rodacy. Ja nie mam pretensyi, by mnie tłumaczono na obce języki i nie wiem, czyby się to na co przydało. Dośćby mi było, żeby mię czytali i prawe moje chęci uczcili ziomkowie.

nym i pełnym obrazów językiem. W zacnym Kremerze mamy myślącą głowę i czyste bardzo zdanie o tem, co jest prawdziwie piękne. Ksiądz Jakubowski pijar jest kroniką chodzącą naszej literatury; można się śmiało do jego pamięci odwołać. I to jest dosyć na pociechę literacką w naszem ubogiem i małoludnem mieście. W końcu przeszłego roku odwiedził je Wincenty Pol, i dni kilkanaście pod moim dachem przepędził. Były to świątki istotne dla twego starego kolegi, poznał on z prawdziwą roskoszą tego pełnego talentu pisarza, który z pięknemi zdolnościami złote serce połącza. Odtąd jestem z nim w ciągłych stosunkach. Myśli jego, to iskry z niebios, a dźwięk wyrazów, muzyka. Ułożyliśmy wznieść na Wawelu pomnik dla Jana z Czarnegolasu, i już są niektóre materyały piśmienne ku temu. Gdy tu zjedzie p, Andrzej [1]), udzielę mu o tem bliższych wiadomości i pism już będących pod ręką. Racz go tylko nakłonić, aby swą drogę do Berlina tędy obrócił, niech na to zwróci uwagę, że dni starego są policzone. Kto wie, czyby mię zastał w Krakowie, jeżeli dopiero tędy powracać będzie do domu. Cieszyć się będę, wzdychając do tej chwili jego przejazdu. Ale długo czekać nie mogę, miło mi będzie podobnież zakomunikować moje poema. Lecz nie wiem, czy go można tak rozczłonkować, ażebyś dostał do twego wiejskiego zacisza stosownych do poznania całości wyjątków, pokazując rzecz całą synowi, pozwolę wybrać dla ojca to, co za godne tego osądzi. Całość zanadto jest obszerną, bo blisko trzy tysiące wierszy obejmie.....

Fr. Wężyk.

Piotrowice 12 stycznia 1848.

Szanowny mój łaskawy i dawny Przyjacielu!

Wymawiałeś pochlebnie dla mnie i łaskawie synowi memu długie moje milczenie, wymawiałeś dług na ostatni twój list tak obszerny, tak łaskawy; mówisz mnie sam przed sobą, gdy

---

[1]) Andrzej Koźmian, syn Kajetana.

wspomnisz niedawno ubiegłe czasy, okoliczności, wypadki, które mi z odrętwiałej ręki wytrąciły pióro, a w których z Krakowa i do Krakowa ani listy, ani wieści nie dochodziły; pisałem do Małachowskiego do Końskich, pytałem się Pawła Popiela, nikt mi nie umiał powiedzieć z pewnością, gdzie się znajdujesz; jedni mówili, że we Wrocławiu, drudzy, że na wsi, a nie umieli powiedzieć, czy na Podlasiu, czy w Krakowskiem. Teraz kiedy wiem, że Kraków jest stałem twojem mieszkaniem, będę szukał przyjemności w rozmowie z przyjacielem, rady i pomocy u oświeconego i bezstronnego krytyka. Skończyłem, szanowny przyjacielu, mój zawód poetyczny Czarnieckim; czuję winę i w piersi się za nią biję, że po 70ym roku, bo szósty zacząłem, odważyłem się wiersze pisać, a raczej kleić. Zasnułem może na krosna zanadto obszerną osnowę; zapędziwszy się już, trzeba było kończyć, tak na mnie wołał Morawski, Zygmunt (Krasiński), syn, i nakoniec dobiło się do końca. Ale to jeszcze jest indigerta moles, jeszcze do tego posągu potrzeba dłuta, rylca, trzeba odcinać, wymazywać, przerzucać, ważyć części ogół. A tu nie ma nikogo, ktoby pomógł. Nowi pisarze całkiemby może zmazali, bo nie jest w ich duchu pisane; starzy jedni wymarli, drudzy, jak ty, Morawski, daleko. Trzebaby całe dzieło przepisywać, przesyłać, a tu nawet trudno o dobrego kopistę. Teraz trudnię się wyciąganiem treści każdej oddzielnie pieśni, aby łatwiej okiem i umysłem objąć po szczególnych ogniwach cały ciąg tego łańcucha, czy się dobrze spaja, łączy, czy części odpowiadają całości; wady wiersza, zaniedbania stylu, długości, niedostateczności łatwo znikną, byleby układ był bez wady i założeniu odpowiadało rozwiązanie; powiesz mi to szczerze po przyjacielsku, bez ogródki, stary jestem, krytyka mnie nie obraża, owszem szukam kwintilliuszów, coby mi powiedzieli: to zniszcz, tego nie umieszczaj, to niedobre, to niesmaczne, to fałszywe. Skoro więc te wyciągi ukończone będą, przyszlę ci je za pierwszą sposobnością i będę czekał twego sądu. Następnie przeznaczę ci jeden egzemplarz manuskryptu do ostatecznoj krytyki; długa to droga takiej narady, takiej krytyki; ale cóż robić, kiedy nie ma nadziei powitać cię w moim domu, a mnie już zakazano wyjeżdżać. W tych dniach spodziewam się Morawskiego na dni dziesięć, z nim więc najpierwej przepuścimy dzieło przez rze-

szoto, oddzielimy ziarno od plewy, i naradzimy się, czy podział uczynić na 12 pieśni, lub na 20 lub 24, bo niektóre pieśni są po 1200 do 1400 wierszy, a żadnej nie ma krótszej jak 800. Zdaje mi się, że krótkie pieśni milej się czytają. O co się jedynie obawiam, aby mi nie wyrzucano, że o ile mój bohater jest ideałem męztwa, cnoty wiary, miłości kraju, o tyle okazał się naród w owej epoce zepsutym, skażonym, przesądnym, ciemnym, niezgodnym, a co gorsza sprzyjającym nieprzyjacielowi przeciw własnemu królowi. Wiele rzeczy osłabiłem, lecz nie wszystko zataić mogłem; trudno było ukryć Radziejowskiego zdradę, Lubomirskiego dumę, Radziwiłłów zaślepienie, Koniecpolskiego przerzutność, Potockiego niedołężność, Sapiehy podwójność. Wszyscy byli o dwóch twarzach: jednę obracali na Karola, drugą na Kazimierza. Sam Sobieski wraz z zaciężnem wojskiem podpisał uznanie Karola za potektora. Jeżeli kto znajdzie, że zbyt wiernie kopiowałem historyę, mogąc wiele ukryć lub osłabić, niech się przejrzy w historyi owego wieku, a moje zwierciadło znajdzie jeszcze pochlebnem. Jeżeli historyi jedynie jest godłem, *sed incorruptam fidem professis unusquique sine amore et odio decendus est,* a do surowej prawdy nie jest obowiązany poeta, przecież musi on zbierać kontrasty i nie może omijać zdarzeń, które akcyę epopei czynią dramatyczniejszą, a charakter bohatera i zasługę jego robią wydatniejszemi i świetniejszemi.

Dołączam ci, szanowny przyjacielu, rozmowę matki z synem w epizodzie Byliny i opisanie skarbcu krakowskiego, sądź mię, krytykuj. Ale kiedy ja cię obrzucam memi ramotami, mam też prawo dopomnieć się, abyś przedemną odkrył, coś utworzył i co słusznie chowasz, *ne proicias vargaretas ante porcos*, wkrótce będzie wracał Władysław Bielski, któremu powierzam mój list; zasil więc umysł zgłodniały, odzywa się w nim smak do owych lepszych czasów, w których klaskano na teatrze Ilińskiemu Bolesławowi. — Cóż mówisz na te lamenta Warszawy nad stratą Dmuszewskiego, co o wspanialym pogrzebie, co o tylu nekrologach, co o Kuryerze z czarnemi obwódkami; myślałem, że jaki monarcha wszedł do grobu, o tempora, o mores! — Podobno w Krakowie zimują wojewodzianki Małachowskie. Jeżeli je widujesz, oświadcz im moją niezmienną przychylność, oba bywaliśmy w domu ich babki

i rodziców, oba wypijaliśmy dobre wino u Orzechowskiego; gdzie się to wszystko podziało, drogi łaskawco? znikło jak sen. My jeszcze wegetujemy na tej ziemi, złamani smutkami; jeżeli jest jaka pociecha, to tylko w jednej przyjaźni, zachowaj ją dla mnie, jak ja do zgonu zachowam szczere uczucia dla ciebie, uwielbienie dla twoich talentów.

Vale et me ama
K. Koźmian.

KORESPONDENCYA

Kajetana Koźmiana z Franciszkiem Wężykiem

(między r. 1845 a 1856).

(Dokończenie).

W roku 1848, na którym stanęliśmy w ostatnim z zamieszczonych poprzednio listów, tok powyższej korespondencyi przerywa się zupełnie; odnawia się jednak za lat parę (z r. 1851). Obaj starzy przyjaciele z końcem tegoż roku przyrzekają sobie nawzajem przynajmniej raz w miesiąc do siebie pisywać, i święcie tego dotrzymują, jak widzieć można z zachowanego kompletu listów Koźmiana, z których każdy jest odpowiedzią na poprzednią odezwę Wężyka. — Na nieszczęście jednak z tych ostatnich, od r. 1851 bardzo niewiele się dochowało, przez co niniejsza publikacya w drugiej części swojej traci jeden z najmilszych wdzięków: niczem niepowetowany urok ciągłej wymiany myśli obu nad grobem stojących klasyków. Niemniej jednak zajmujące są i same listy Koźmiana, będące niejako przyczynkiem do jego tak pouczających i cennych pamiętników, a dozwalające odtworzyć sobie w myśli po-

niekąd i to, co mógł pisać Wężyk, zwłaszcza że ostatnich kilka listów jego się znalazło, również jak i jeden z pierwszych z tej epoki, od którego tu właśnie zaczniemy:

Kraków, 25 Grudnia 1851.

W doroczny dzień Narodzenia Chrystusa Pana, biorę się do pisania, ażeby ci podziękować szanowny przyjacielu za twój list ostatni w dniu 15 b. m. skreślony. Wczoraj twój wnuk przyjął wraz z swym przewodnikiem u nas podział opłatka i skromny obiadek, bo go uważano za należącego do mojej rodziny przez powinowactwo serca i stosunki zadawnionej przyjaźni. Jest on zdrów, poznał się z świeżo przybyłym mym synem najmłodszym Teofilem i nagadaliśmy się do późnego wieczora, to o Piotrowicach, to o szanownej parze tamecznego gospodarstwa, to o rybołostwie które tak lubisz, to o patryarchalnych zwyczajach przodków naszych, które dni niniejsze wywoływały przed laty po całej Polsce, a które dziś już niestety poczynają wygasać, dzięki kolejom żelaznym, i bardziej jeszcze żelaznemu wiekowi. Za lat 50, już może nie będzie szopki, i wigilii, i tak pięknej kolendy z której nawet poważył się żartować ostatni polski arcybiskup Gnieźnieński, w słowach:

Żaki śpiewanie zaczynają w sieni,
Gospodarz z dziećmi dobrodzieja wita.
Kończy się kuflem pobożna wizyta,

nie kuflem ona kończyła się, ale posiłkiem: bo ksiądz pleban przybywszy o mil parę na sankach, mógł naziębnąć, a zawsze potrzebował jakiegoś uczczenia. Czy się to lepiej teraz odbywa herbatą, którą raz wymoczył i wypił chinczyk, a wysuszywszy sprzedał w kiachcie Kacapom, którzy z swej strony może podobną spełniwszy kolej, znowu nam lub naszym żydom sprzedają? Niechaj osądzą znawcy: ja nie jestem judex competens, bo nigdy i o żadnej porze nie pijam herbaty.

Obawę twoją o moją spokojność, z powodu listu wiadomego wierszami [1]), podnieciła przyjacielska troskliwość. Ja jej nie mam, ale milcząc przez lat 30, osądziłem za potrzebę odezwania się raz przed śmiercią, by ktoś nie wyrzekł, że żył pośród zgorszeń i literackiej herezyi, mógł coś w tej mie-

---

[1]) List ten znajdujemy w korespondencyi Z. Helcla z Fr. Wężykiem.

Pod dniem 13 maja napisał Z. A. Helcel humorystyczno-lokalne przywitanie Fr. Węż. za jego przybyciem na wieś, które się dlatego nie udziela, że wypadałoby wiele lokalnych dołączać objaśnień. Na to Fr. W. (jak wiadomo) odpisał z prośbą, aby mu nie odbierał chleba, ten zwłaszcza, który w prawno-historycznym zawodzie tak znakomicie pracuje.

Na to Helcel nadesłał mu swój wiersz, skreślony do J. I. Kraszewskiego, z powodu nadesłanego mu wiersza przez anonima z Warszawy, co w *Gazecie Warszawskiej* wydrukowane, powszechną obudziło uwagę. Nie pojmowano bowiem celu, jaki miał w tej publikacyi Kraszewski. Byli i tacy, którzy anonimowi przyznawali słuszność. Helcel osądził, że nie godziło się gniewać i wtajemniczać publiczność do tego nowego rodzaju literackich sporów. Dlatego przy końcu swego wiersza następujące domieścił strofy:

Grot prawdy w sercu swem czując utkwiony
Nie pyta mędrzec, z której wypadł strony,
Lecz silnym duchem zrywa zakres ciasny
Miłości własnej.
I ty pisarzu naukę życzliwą,
Danąć z Warszawy, przyjm z chęcią poczciwą;
Dla młodszych z dumą nie odpychaj prawdy,
Gdyż boska zawdy.

Potem rzekłszy, że W. Scott i Bulwer, chociaż wyżsi od naszych powieściopisarzy, a nie obrażali się krytyką sumienną, tak kończy:

Cnym nie przystoi zarozumność niska;
Czujesz błąd — popraw, a kraj na tem zyska,
I wdzięczneć będą za korzyść z nauki
Późne prawnuki.

rze napisać, i okrył się wygodnem milczeniem. Jeżeli się podoba tym panom podnieść rękawice rzuconą, to może znowu wystąpię, i nie oszczędzę imion dla miłości prawdy. Mam już

Na to odebrał od Fr. Wężyka następującą odpowiedź:

Sądziłem zrazu, że jak kuternoga,
Zdawszy rząd pól twych na ludzi i Boga,
Z żartuś wesołe zaczął składać śpiéwki,
Dla swej rozrywki.
Brawo! mówiłem, to roskosz prawdziwa
Statut Każmierza niby słowik śpiewa;
A w rym związany całe niekoszlawo
Przemawia prawo!
Lecz gdyś mi z Gołczy drugi śpiew zagaił,
Stój zdrajco! rzekłem, coś się tak przyczaił
Pod skórę jura albo szpargalisty,
A tyś wieszcz czysty.
Tyś w nieobłudnej a dobitnej treści
Wyrąbał prawdę pisarzom powieści:
Ja chcę duchowej narodu ruiny
Dotknąć przyczyny.
Byliśmy wielcy!... Nie oręż zwycięzki
Zgniótł nas — Kannejskiej nie znieśliśmy klęski,
Lecz nam wydarły naddziadów nabytki,
Przekupstwa, zbytki!
Została pamięć cnót i obyczajów —
By tę wytępić z nieszczęśliwych krajów,
Pieniądz na niższy przeznaczony połów
Szedł do gryzmołów.
Niechby pisarzom, których czas ten powił,
Wolf lub Leszniowski jurgeltu odmówił,
Spryśliby z pola — bo ich dusznej nędzy
Trzeba pieniędzy.
Kto w płody pióra kraj przedtem bogacił,
Za druk i papier sam wydawcy płacił;
Dziś księgarz kupi na termin przestrony
Płód niezrodzony.
Więc jak kielichy na bogacza stypie,
Tysiąc powieści ze wszech stron się sypie,
A ich pisarzy rzesza rozhulana
Pije szampana.
I cóż my na to?... Stać-li w osłupieniu
I dać wstęp wolny zarazie — zgorszeniu?
Nie — strzegąc od nich domowego progu,
Ufajmy w Bogu.

w myśli gotowy nabój w liście 11, który ci z czasem nadeślę gdy przejdzie z głowy na papier. Jeżeli im wolno mieć o nas takie lub owakie mniemania, to i my powiedzieć możemy: hanc veniam damus etc. etc. Wszak to w niczem nie tyka osobistych stosunków, wszak i tacy co sami o sobie wyrzekli, „Ja mistrz,“ mogli jak ludzie usunąć się w swoich mniemaniach i sądach, wszak nad wszystkiemi nami stoi sąd wyższy, to jest krajowa powszechność. To co piszesz o zebraniu kilku rodaków w twym domu. na których mój list przychylne zdziałał wrażenie, przeświadcza mię, że jest jeszcze u nas miłość dla poczciwości i cnoty: ona zawsze i wszędzie będzie przenosić prawdę nad malowidła potworne i obudzające zgorszenie. Takie obrazy jak narodzenie bezimiennego w karczmie żydowskiej, jak śmierć kasztelanica w interesach familijnych, powinny być zakazane jak te ohydne malatury na tabakierkach francuzkich z wieku Ludwika XV, któremi stare libertyny przypominali sobie niecne sprawy występnej swej młodości. Lecz dosyć o tem, co do oburzeń na wiek dzisiejszy pobudza. Coraz to nowe ku temu nasuwają się żywioły; bo coraz to więcej zuchwalstw bez wstydu.

Kończy się rok stary, ten jak wiele innych przeszedł dla nas bez śladu lepszości. Przeciwnie pogrążył kraj nasz w niejeden smutek, i wydarł nam niejedną bolesną ofiarę. Dosyć wspomnieć Antoniewicza właśnie otrzymałem od p. Jana K., list z dnia 17 b. m., w którym wynurza swą boleść nad tą stratą, a piękną myśl jego z uwielbieniem powtórzę:

„Cały kraj płacze za K. Antoniewiczem. Nie pamię„tają tutaj takiego powszechnego żalu za człowiekiem poje„dynczym. I dzieje się, że jak apostołował żyjąc, tak i apo„stołuje śmiercią.“

Bodajby nas Wszechmocny w roku następnym od podobnych klęsk uchronił. Bodajby zachował w całości dni tego sędziwe, bez którego jabym już tylko został jednostką; a gdy już przyjdzie dług ostatni człowieczeństwa wypłacić, bodajby nas nierozłączał od siebie.

Fr. Wężyk.

Piotrowice, 30 Grudnia 1851.

Szanowny i kochany mój dawny kolego i łaskawy Przyjacielu!

Jeżeli ci odezwa moja sprawiła przyjemność, czemu znając zacne twoje serce wierzę, ileż mnie staremu, wyrazy twoje niedały rozkoszy, czztając je, znalazłem się w moim żywiole jak ryba, którą zpstawioną na błotnistym kale wpuszczono do źródlanej i czystej wody, możebym się nawet wbił w pychę — widząc jednego, ze mną zdania jednego i przekonania, i z pobłażaniem sądzącego o mnie Franciszka Wężyka, ale w moim wieku, już próżność za mną pozostała tak pisarza jak autora; a serce bije tylko dla rodziny dla przyjaciół. Z tej strony drogi przyjacielu, wyrazy twego listu były mi najdroższe były pocieszające, bo mi i z ręki twojej tak pięknie, tak wyraźnie tak niezmordowanie piszącej, i z świeżości umysłu i z jędrności znanego mi twego stylu przyniosły świadectwo o twoim zdrowiu i umysłowej potędze, która mnie już (prawda że znacznie od ciebie starszego) odstępować zaczyna, widzisz, że już krzywo piszę, drobno niewyraźnie i bez porządku. Już to drogi przyjacielu my się ani dla siebie ani w przekonaniu o wszystkiem co nas otacza nie zmienimy. Ja twoje zdanie zupełnie dzielę. Jesteśmy jednego wieku wychowańce, jednej szkoły uczniowie, jednego towarzystwa niegdyś członkowie, jednych spraw i wypadków świadkowie, jednych i może niejakich zasług wspólnicy. Wyobrażenia więc nasze, czucia, przekonania muszą być jedne i te same, a jako wyznawców jednych zasad w religii moralności i literaturze muszą być stałe i niezmienne; milczeć możemy na to wszystko co się dzieje, lecz anl wrzask ogłupiałych półgłówków, ani kacerskie nauki pseudo filozofów nas nie stropią, nieodstraszą od naszego wyznania. Ja już lutnią potłukłem; z nałogu pisania a z głodu czytania, bo niema co wziąść do ręki, czasem rzucam na papier moje dawne wspomnienia, może za sto lat po mojej śmierci przydadzą się komu do historyi naszych czasów, ale jak mi wpadnie jaka powiastka

Korzeniowskiego, lub innego powieściobajacza w rękę, przez tydzień ze wstrętu niemogę wziąść pióra do ręki, radbym zapomnieć pisać, byleby tacy moraliści nie bazgrali, jak autor pana Tadeusza Bezimiennego, co za przewrót i obłąkanie mózgu, żeby ze śmieci zbierać cuchnącą zgniliznę, i wmawiać w ludzi że to pachnie, dla tedo, że walterskotyzmem odziane; przed moim nieszczęściem, czasem jeszcze kleciłem wierszydła jak ten stary furman co kiedy powozić nie może bicze kręci, nikomu atoli tych lichych ramot nie powierzam, ale takiemu przyjacielowi co umie staremu wiekowi przebaczać, bierze mnie pokusa udzielić. — Synowica moja ma śliczną rękę w pisaniu, naparła się mego Czarnieckiego przepisać i prawie jak sztychem przepisuje, napisałem więc do niej podziękowanie [1]).

---

[1]) DO ZOSI PRZEWŁOCKIEJ,
przepisującej Czarnieckiego poemat.

Zosiu, ty z czułej ku stryjowi chęci
Starą ramotę ryjesz jak na miedzi;
Nie uratujesz jej od niepamięci,
Oko młodego rodu jej nie zwiedzi.

Im ją nadobniej ręka twoja kreśli,
Właśnie z tych zalet podpadniesz naganie,
Bazgractwo w modzie i z pióra i z myśli,
Z wrzaskiem na ciebie i na mnie powstanie.

Dla sztuk, dla nauk smutne przyszły czasy,
Z zepsutym smakiem zysk podły się zbracił,
Jak lubi brednie — polubi kulasy,
Nikt nie przeczyta, ale już zapłacił.

Stargała młodzież rozsądku wędzidła,
Zarozumiałość w szał pomysły wprawia;
Marzy, rozmnaża potwory, straszydła,
I jak cud wieku śpiewa głosem pawia.

Ochroń od zgubnej zarazy me wnuki,
Odwróć od bredni dubów i mamideł,
Nie ma w naukach piękności bez sztuki,
Nie ma sztuki bez prawideł.

Drugą lichotę rzuciłem na papier wiersz na Demagogów [1]) przejrzyj przeczytaj, spal jeżeli zachowania nie warte, a niech cię to zachęci, mnie stęsknionego do pięknych wierszy czem twojem obdarzyć.

Próżno obecne plemie się uwzięło
Przeczyć tej prawdzie i uporem błądzi;
Potomność powie prawdę, gdy osądzi
Piękniejsze twoje pismo niż me dzieło.

Znienawidzona stoi szkoła stara,
Próżno ją zwalić, głupota się kusi,
Póki nie schwyci pochodni Omara,
Czołgać się przed nią i wstydzić się musi.

My się na sądzie wieków nie omylim,
Szukajmy w wzorach dla pióra zapasów,
Chlubniej być głupcem z Homerem Wirgilim,
Niż geniuszem tych czasów.

---

[1]) DO DEMAGOGÓW.

Straszna choroba wyszła z zwierząt rodu,
Kto na nią spojrzał, okropność jej przyzna,
Pochodzi z żaru mózgu albo z głodu
I nazywa się wścieklizna.

Gdy psa wściekłego spotkasz w złej godzinie,
Ustępuj z drogi i uchodź zdaleka,
Śmierć ci on niesie w zębie, nawet w ślinie,
I w psa cię zmieni z człowieka.

Dotknie cię, już się na zdrój czysty wstrząsasz,
Pienisz się, wyjesz, zrywasz do napadu,
Szarpiesz swe ciało, własne plemie kąsasz;
Póki nie skonasz od jadu.

Wasz to jest obraz, bezbożni bazgracze,
Z waszego pióra jad śmiertelny ścieka,
Łyka go ludzkość — lecz wkrótce zapłacze,
Gdy uczuje, że się wścieka.

Rozumiem, że od nadzwyczajnych wydarzeń w Paryżu, już jesteś bez obawy aby kiedy socyalizm wziął górę, prawdziwie rzec można: digitus dei hic est; bo czyż to nie zadziwia, aby czego cała masa mądrości francuzkiej nietylko dokazać ale przedsięwziąść nie śmiała, to jeden drobny jak go nazywano Głupek w cichości ułożył, oszukał, uprzedził, odważył się i dokonał; nie powieszże: Sapientia hujus mundi est stultitia apud Deum; już sam wielki tylu zwycięztwami stryj jego gdy podobne dzieło przedsięwziął, w samem wykonaniu jego, zmięszał się, jąkał się, głowę stracił, i kto wie, co by się było z nim stało, gdyby był mu brat jego głowy nie pożyczył a grenadyerowie bagnetami nie wsparli, a mały Bonapartek niedawno więzień w Ham bez sztandarów z pod Arcoli, Lodi i piramid egipskich całe wojsko za sobą pociągnął i bez użycia bagnetów, wszystkich sokratesów mądrości, katonów, cyceronów, pompejuszów oszukał, uchwycił i zamknął, i tę hydrę stugłówną, której herkulesy rady dać nie mogli — on matnią złapał i łby jej po jednemu dusi. Nie jestże to ten mały Dawidek wybrany od Boga, co jednym kamyczkiem z procy trafił w czoło Goliata i zabił; nic dla mnie w tej sprawie nie jest bardziej pocieszającem jak to, że ów mądry gadacz a istotnie podły polityczny szachraj Thiers poszedł do kozy; ten jak go teraz nazywają zły geniusz czyli szatan francuzki, w historyi rewolucyi którą w niej ubóstwił, a zbrodnie jej fatalizmowi przypisał, i przezto rewolucye z rewolucyi namnożył, opisując dzień 18 brumaire, wyrzuca Napoleonowi

---

Nędzna ludzkości! myśl o twojem zdrowiu,
Póki cię wściekłość w ziemi nie zagrzebie,
Śmiej użyć ryglów, żelaza, ołowiu,
A uratujesz społeczność i siebie.

A ty motłochu ślepy na mamidła,
W swych podłych żądzach niechamowny, dziki,
Nie znasz w głupocie że jak trzoda bydła,
Idziesz do jatek za twemi rzeźniki.

Zważyć wypada, że było to pisane pod świeżem jeszcze wrażeniem wypadków 1846 i 1848 roku.

jako błąd, który mógł zawieść jego przedsięwzięcie że nie kazał wprzód sprzątnąć i zamknąć wszystkich naczelników stronnictw. Otóż synowiec korzystał z jego rady, i udało mu się wszystko, gubi się frant własną sztuką; jeżeli zaś w tej całej robocie przypuścimy rękę ludzką a może i obcą, to ręka ta pewnie była najpotężniejszą i najmędrszą. Już tedy z gazet iemy, że niezawodnie Ludwik Napoleon utrzyma się znaczną większością, a lubo wnosić można, że pójdzie we wszystkiem torem swojego stryja, czyli mu się to uda, jak się mu uda, próżno sobie głowę łamać, przyszłości przewidzieć trudno. Jabym się cieszył nadzieją dziesięcioletniego pokoju, gdyby mnie nie niepokoiła piekielna polityka Angielska a raczej Palmerstona, który dla interesów kupieckiej Angli, wiecznie będzie podburzał ludzi, zwodził, odstępował, siły monarchów zatrudniał dla pokupu towarów angielskich; ciekawy jestem czy prezydent utrzyma związki kardynalne z Anglią, wnoszę, że ona pierwsza go przyzna, a dla tego wszystkim burzycielom schronienia nie odmówi; jakkolwiek bąć przyznajmy, że Opatrzność czuwa nad światem.

Piszmy szanowny przyjacielu choć raz w miesiąc do siebie, szukam tego pokarmu starości mojej, u ciebie jako dawny stały i do grobu nieodmienny twój wielbiciel

i wierny przyjaciel
K. Koźmian.

Piotrowice, 28 Stycznia 1852.

. . . .

Cóż mówisz na nowego we Francyi prezydenta, dyktatora lub cesarza, cóż mniemasz czyli będzie Augustem lub Augustulem; z odezwy jego do ludu, przy nadanej konstytucyi, skoro ją sam pisał, trudno mu nie przyznać znakomitej zdolności i zręczności. Okazał śmiałość w pierwszym kroku, lecz dokazawszy swego — będzież się umiał utrzymać lub zatrzymać, zdaje mi się, że już czuje całą trudność swojego we-

wnętrznego i zewnętrznego położenia — i zaczyna robić koncesye i zawikła się w nie. Ciekawy jestem jak urządzi wolność druku, to jest najtrudniejsze do urządzenia we Francyi, gdzie prasa jest Kalifornią, a pióra i języki fabryką żywiącą tysiące rzemieślników. Jeżeli ścieśni zarobek, namnoży krocie proletaryuszów umysłowych, pozbawiwszy ich codziennego chleba; słabo ograniczy lub nieograniczy tej wolności, otworzy znowu źródło propagandy najszaleńszych systematów i ciągłych rewolucyi, zgoła jest to szkopuł, o który się rozbiją wszystkie najmędrsze urządzenia i ustawy jeżeli uporządkowanie jego utrafionem nie będzie. *Nec totam servitutem, nec totam libertatem, pati possunt* — to można powiedzieć o Francuzach a szczególniej w tej materyi. Oto masz znowu wypis z jednego z listów w roku jeszcze 1832 napisanych, przepisuję ci dość długi wyjątek, abym na podobną wzajemność zasłużył.

Lud w żądzach niewstrzymany — jakby trzoda bydła
Odwiecznie targa jarzmo i gryzie wędzidła,
Gdy je zerwie, szaleje, i w przepaście wpada,
Najpodlej wtedy służy, gdy mniema, że włada,
Złorzeczy zwodzicielom, gdy cierpieć przychodzi,
Kuglarz maskę odmienia, i znowu go zwodzi;
Jak swiat stary, i odkąd o swobodzie marzy,
Każdy wiek miał oszustów, każdy kraj kuglarzy;
Równość, ojczyzna, wolność są znane mamidła
Któremi głupich łudzą, ślepych wiodą w sidła,
Ażeby za pomocną zwiedzionych posługą
Mogli wznieść się nad pierwszą, mogli złupić drugą,
A że zręczny zwodziciel umie ujść przed karą,
Gmin to zbrodni narzędzie, zbrodni jest ofiarą.
Ta prawda z doświadczenia, nie jest w świecie nową
Czy ludzi pojedynczo weźmiem czy zbiorowo.
Żądza władzy wrodzoną jest ludzkiej naturze,
Ztąd demokrat na dole, despota jest w górze,
Sprzeczność czynów z słowami skrytość naszą zdradza,
Pragniem wolności, bo zbyt smakuje nam władza,
Wolność pierwsze do władzy uściela nam stopnie
Cała gra o to idzie, kto gry pierwszy dopnie,

Dopiętej człowiek, czy lud na dobre nie użył,
Tem sroższym był tyranem im wprzód podlej służył.
Mędrzec tylko swym żądzom umie miarę nadać,
Umie władnąć, podlegać, podlegając władać,
Lecz jak rzadkie na świecie takich władzców wzory,
Nie wracają do pługa nasze dyktatory,
Waszyngton co nam wznowił cnoty Cyncynnata,
Nowego dla wolności potrzebował świata,
W starym cnota szyderstwem, ubóstwo sromotą,
Rotszyld więc dyktatorem, bo Rotszyld ma złoto,
Stolice zmienił w giełdy; w izbach, w gabinecie,
Siedzą jego Meklery, i radzą o świecie,
Co dziś kupią, to jutro wraz z sobą sprzedadzą,
Gdzież cię nędzna ludzkości twe losy prowadzą?
Bakałarze, pismaki łakome na zyski,
Na dwusążniowych kartach czynią na cię spiski;
Nieśmiertelni gadacze wśród szkolnego wrzasku
Jak niedołężne dziecię wiodą cię na pasku,
Ich zazdrość, chciwość, próżność i ukryta pycha
By się dostać na górę, drugich z góry spycha;
Gdzie błyśnie złote runo, tłum majtków, sterników,
Chwyta z piór wiosła, żagle rozpuszcza z języków,
Prasa nawą, i na niej pędzą po grabieże,
Kto pierwszy zgładzi smoka, który runa strzeże.

Dosyć tego wypisu, aby cię zachęcić a nie znudzić. Ściskam cię szanowny drogi przyjacielu, niech ci twoje zacne serce przypomina tego, który cię zawsze uwielbiał, zasługi twoje w kraju i literaturze cenił i z tem uczuciem dotrwa do bliskiego zgonu.

Vale et me ama
Kajetan Koźmian.

Piotrowice, 1 Marca 1852.

Szanowny, łaskawy i kochany mój Przyjacielu!

Zaczynam według umowy między nami odezwę moję pierwszego dnia miesiąca, abym ci zostawił cały miesiąc do odpowiedzi, to mi może wyjedna dłuższy list i dłuższe wypisy i twojej teki, które są dla mnie miłym i pożywczym pokarmem i żywiołem — po kwasach, goryczach wykrzywiających usta, jakże jest miłym głaszczący smak sok, jest to ten stary tokaj, który razem zapachem i słodyczą dwom zmysłom czyn przyjemność.

Dziękuję ci serdecznie za te kilkadziesiąt pięknych wierszy, któremi mnie obdarzyłeś, a proszę o więcej; schowam je między moje pamiątki wraz z twemi listami, nie jest małą dla mnie chlubą poszczycić się przed rodziną, że miałem przyjacielem Franciszka Wężyka, że nasze czucia, nasze wyobrażenia były jedne i twory są i prace podobne. Jestem zupełnie twego zdania, w twoich wierszach wyrażonego. Dawniej może byłem zbyt ścisłym przestrzegaczem pewnych form w główniejszych przedmiotach literatury, teraz po tylu bredniach, wybrykach, niepojętych umysłowych szaleństwach, nie wymagam tylko zdrowego rozsądku i zrozumiałości, ale podobno ich od teraźniejszego plemienia, szczególniej w poezyi nie otrzymamy; złe będzie się jeszcze długo wałęsać póki, jak to mówi pospólstwo, o bożą mękę się nie rozbije. Masz zupełną racyą i ja z tobą trzymam, że kto ducha poezyi z nieba nie odebrał, te czcze wzywania natchnień nie wleją w niego daru, że krytyka i najzdrowsze rady i przygany ani ludziom bez talentu, zdolności nie użyczą, ani ich od pisania nie odstraszą. Że dla prawdziwych gieniuszów formy niepotrzebne, bo one nie szukają form ale jej dają, że jak bohomazom częstochowskim złocone filgramową rzeźbą ramy nic nie dodadzą tak pędzlowi Raphaela nic nie ujmą proste i najskromniejsze, a że wymiar ich czy podługowaty, kwadratowy znajdzie się i w samym obrazie i z samego obrazu — jednak trudno nie przyznać, że w pewnych przypadkach i dla pewnych umysłów nie są szkodliwemi prawidła i szranki, bo one są niejako poręczą tego mostu,

który nietylko przebywać mają ludzie zdrowi i trzeźwi, lecz ciśnie się na niego i gawiedź ciemna a częstokroć pijana; tych przynajmniej taczających się po tem moście poręcz zatrzyma, aby na łeb nie wpadli — tych zaś co umyślnie w przepaść lecą, Horacyusz słusznie nie radzi ratować.

Sit jus liceatque perire Poetis
Jnvitum qui servat, idem facit occidenti.

Przypomnisz sobie owe czasy w Warszawie, w których Mickiewicz obrażony plotkami, które mu donosili jego przyjaciele, wystąpił z napaścią na Warszawę zarzucając jej, że w niej nigdy ani poezyi, ani smaku, ani żadnego dobrego pisarza nie było, chociaż w niej mieszkali: Osiński, Wężyk, Molski etc. Morawski uroił sobie wtedy jakiś młyn wietrzny, jakąś walkę klasyków z romantykami, która chociaż toczyła się za granicą, u nas jej nie było. Osiński wprawdzie z katedry szczypał złe pisma i pisarzów, ale przeciw rodzajowi literatury nie występował, sami źli pisarze zasłaniali się romantyzmem i nikomu przysługi nie zrobili, przeciw Szakespirom i Baironom nikt nie był waryatem powstawać, tylko przeciw niezgrabnym ich naśladowcom. Brodziński i wzorem i radami prostował młode, zagorzałe i zarozumiałe głowy, czynił nawet koncesye rozsądne form, ale nikt wojny polemicznej nie staczał. Uśmiechaliśmy się między sobą na niektóre utwory, przyganialiśmy złe wiersze, fałszywe myśli, niegodne przedmioty ale to w ci hości ustami, nie piórem, Dmochowski tylko młody warcholił się z niemi; otóż niespodzianie Morawski wpadł w szranki listem swoim do romantyków i tak mniemanych klasyków, w którym acz pięknemi wierszami ale sofistycznemi wyszydził pierwszych, zgromił drugich. Obie strony, jeżeli były, o czem wątpię, obraził, nikogo nie nawrócił; prosiłem go, aby nie drukował, wytknąłem mu wszystkie sofizmata, ale on chcąc dokuczyć Osińskiemu, wydrukował i Julianowi przypisał. Odpisałem mu wtedy, ale że to mój przyjaciel od serca, pomyślałem sobie: Cur ego in nugis offendam amicum i schowałem w tekę — teraz gdy mi wpadły pod rękę, znajduję je zanadto surowe co do autora i dlatego ci ich wszystkich nie posyłam — początek tylko i koniec wypisuję, gdyż w środku,

gdzie zbijam jego sofizmata przeciw klasykom, jest nieco uszczypliwości; *indignatio fecit versum* [1]).

Jakże się tam bawiono w Krakowie w karnawał, warszawskie na dobroczynność teatr i obrazy czytałeś we wszystkich naszych gazetach, rozmaitem piórem wysławione. Prywatne listy dodają małe komeraże, bez których być nie mogło, gdzie tyle było młodych aktorów a szczególniej aktorek, mówią, że stroje więcej kosztowały niż wyniósł dochód dla ubogich, wasz „Czas“ jest dobrze pisany, lecz rzadko go całkowitym można dostać, zato raczymy się naszym „Dziennikiem“ i „Kuryerem“, nad powieściami w pierwszym umieszczanemi ziewamy, nad konceptami drugiego ruszamy ramionami; z Galicyi żadne nas dobre nie dochodzą wieści, o indemnizacyi ani słychać; stosunki włościańskie śpią, pieniędzy żadnych albo bardzo mało; zboże drogie ale go nie ma. Chłopstwo ciśnie się do lasów i pastwisk i pretensyami rząd oblega, obietnic wiele, oczekiwania długie, skutek daleki; złe spadło orlim lotem, nadzieje lepszego wloką się żółwim krokiem, *tardiora sunt remedia quam mala.* U nas bardzo spokojnie i cicho i już wiele dobrego kiedy nie gorzej; spodziewać się, że i na całym świecie tak będzie, jeżeli prezydent jakiego nowego wybryku nie zrobi, wielką on przysługę zrobił ludzkości i całemu światu, że socyalizm i demagogizm wygnał i zgniótł, i ja chociaż osoby nie cenię, nie pytam się kto zrobił, ale co zrobił; ale utrzymaż się na tym stopniu, na którym stanął? nie zaślepiż go fortuna? nie zechceż we wszystkiem naśladować Napoleona bez jego geniuszu? różnie o tem wróżą; a przytem Napoleon zadziwił świat, ale go nie uszczęśliwił. Badeni Marcin rozsądkiem swoim mawiał: od powietrza, głodu, ognia i wojny i wielkich gieniuszów zachowaj nas Panie! a cóż dopiero mówić o histryonach geniuszowych.

Otóż masz długi list. *Si quid noveris melius istis, imperti, si non, his utere.*

Vale amantissime
K. Koźmian.

---

[1]) Wiersza tego nie podajemy, gdyż ogłosił go już p. L. Siemieński w „Portretach Literackich“.

Piotrowice, 25 Kwietnia 1852.

Szanowny kochany drogi mój Przyjacielu!

Kwiecień upływa więc dotrzymuję umowy. List twój ostatni zasmucił mnie twoim zdrowiem, a choć się to pokrzepiło, o co nie łatwo było w tych zimnych przykrych i ostrych zmianach powietrza; wyjeżdżasz więc do wód zapewne na końcu Maja, bo prędzej się nie ociepli, w podróży twojej, i przy kąpielach towarzyszyć ci będą życzenia starego a zawsze wiernego i stałego przyjaciela. Między ludźmi blizkiego wieku, jednego wychowania, jednych wyobrażeń, jednych zasad i wspólnie jeden przebywającemi zawód, jest jakaś sympatya, która jakby jaki magnetyzm przebiega przestrzeń powietrzną, udziela się a działa z tą różnicą, że magnetyzm usypia, a ta budzi i ocuca, tego ja doświadczam pisząc do ciebie; niegdyś rymokleta, same wierszydła cisną mi się pod pióro; a chociaż może osądzisz że nie ocuciłem się, lecz we śnie baję, przeczytaj, rozśmiej się, przebacz nikomu nie pokazuj i spal.

Niechaj zdrowiące w Karlsbadzie kąpiele,
Umorzą wszelkie cierpienia w twem ciele,
Bo umysł, serce i duch wzięty z nieba,
Zdrowe jak trzeba.
Zawiść nie wydrze co kraj przyznał tobie,
Umiałeś wieku nieuledz chorobie,
Ci niech zdrój zimny na skroń sobie leją,
Co dziś szaleją.
Lecz kto wziął umysł, lichy duszę podłą,
Chociażby wypił do dna w Karlsbad źródło,
Raz umaczany w brudnej żądzy kale,
Umrze on w szale.
Już wyniszczyli rozsądku namiastek,
Mistrze i ucznie, brudni z powiastek,
Ciągle się brudzą myśląc że się myją,
Puchną, nie tyją.
Z obrzmiałą głową i odętym brzuchem,
Jak gdyby wieszczym napuszeni duchem,
Chełpią się sobą i wieńczą się sami,
Lecz nie przed nami.

Wrzawa i poklask, bezczelnej hołoty,
Już nabawiła mą starość głuchoty,
Ulecz ją przebóg! przez swe bezkrólewie,
W uroczym śpiewie.

Zapewne już czytałeś nową powieść Kraszewskiego (Kordecki). Ja jeszcze jej dostać nie mogę, czytałem tylko krótką recenzyą w dzienniku warszawskim Bartoszewicza, i długą apologią więcej autora jak dzieła jego w gazecie warszawskiej; Bartoszewicz wyrzuca autorowi świętokradztwo, że tak święte i poważne imię kapłana, bohatera godnego epopei, potyrał użyciem go do powieści. Ja w podobnym wypadku, gdy przed 15 laty pan Czajkowski emigrant podobną powieść uklecił z Czarneckiego; wyraziłem zdanie moje w liście do ś. p. Lindego w słowach: „Imię wielkie, zasługi i sławę bohatera go-„dnego epopei nie godziło się terać w lichej z krzywdą historyi „powieści, jak to czynią, co dla nikczemnego zysku umieszczają „napisy na gospodach: karczma pod cesarzem, karczma pod „Napoleonem,“ i w tem zdaje mi się, że oba z Bartoszewiczem mamy słuszność, ale widzę, że nie tak myśli publiczność ubiegająca się za powieściami. — Kraszewskiemu zapewne pod pewnym względem niepospolitego talentu zaprzeczyć nie można, należy on do lepszych teraźniejszych pisarzy, należałby do zupełnie dobrych, gdyby mniej pisał, a z lepszym wyborem, rozwagą i krytyką, chęć zarobku spieszyć mu się doradza, pośpiech wpędza go na szkopuły, z tem na targ jak najprędzej, co popłaca to zdaje się być jego godłem. Publiczność i koledzy jednego zawodu upoili go oracyami, poklaskami, „adulatio pessimum veri affectus venenum,“ radbym, aby redaktorowie waszej gazety „Czas“ napisali jak to umieją, porządną i dokładną recenzyą tego utworu, jeżeli go osądzą godnym rozbioru, są tam między redaktorami dobre pióra; język, styl, smak i sąd zdrowy zawsze w „Czasie“ góruje nad innemi pismami; ja czasem go miewam i z przyjemnością czytam, lecz często zamazanego lub wystrzyżonego z prawdziwym żalem odbieram.

Jeżeli czytujesz dziennik warszawski, czy też miałeś cierpliwość przebiedz w nim umieszczony długi, bo przez cztery numera w zupełnych kolumnach umieszczony nekrolog ś. p.

księżnej Klementyny Sanguszkowej, który jakiś ksiądz erudyt i przyjaciel domu podał i dowiódł tego dawnego przysłowia, że lepszy nieprzyjaciel otwarty, jak przyjaciel głupi i niezręczny. Cóżto za nieznośna, niepojęta, niezrozumiała metafizyczno apologiczna bazgranina, zgoła zawikłana, ciemna półłokciowemi peryodami pisana banialuka, tchu nie staje czytając, a siły umysłu mdleją aby zrozumieć, i autor, a więcej jeszcze redaktorzy dziennika niemiłosiernie zgrzeszyli przeciw cieniom tej zacnej księżny Klementyny, która przeciesz wartą była godniejszego wspomnienia.

Ostatni poszyt Maciejowskiego poszukiwań literacko historycznych, o ile ma erudycyi, szacownych zbiorów najdawniejszych pism, o tyle mu brakuje sądu, smaku i stylu. Same sofizmata metafizyczne, urojenia, a nawet sprzeczności i ckliwie się czyta, bo więcej bałamuci niż uczy. Tym czasem w Warszawie ciągłe oracye mędrców i autorów, z teatru i restauracyi przeniosły się do ich domów, tam grają dramata co 24 godzin improwizowane, a tak doskonałe, jakich jeszcze żaden wiek żaden kraj nie słyszał. W domu pani Łuszczewskiej w młodszej jej córce objawiła się nowa Korynna, która mędrcom i autorom na wieczór zgromadzonym improwizuje apoteozy, a oni niemieją nieumiejąc ex abrupto odpowiedzieć, lecz tylko z pokorą odbierają z rąk czternastoletniego dziewczęcia wieńce i patenta na nieśmiertelność. Za wzorem stolicy idą miasta prowincyonalne a nawet wioski. Gazety, Kuryery, Dzienniki napełnione samemi zabawami, ucztami, teatrami, szaradami nawet w obrazach, strojami, modami, nie przepuszczając żadnym kwiatkom, żadnym skokom, żadnym uśmiechom — nasz Lublin nawet zapragnął niemi zasłynąć, a swoje kwesty, swoje święcone, swoje falbany podał przez „Kuryera“ do kościoła pamięci, konia kują, żaba nogę podnosi; — słyszałeś zapewne o nowym dowodzie grzeczności w młodzieży w domu Woronieckiego przez dwóch złośliwych dowcipnisiów przy grze w sekretarza, okazanym dla pani Wyczechowskiej, żony tego, któregośmy pod imieniem Murzynka znali, a z którym ja kolegowałem, i nikt się nie ujął za biedną kobietą bezbronną, a niemiłosiernie złośliwą kwestyą i odpowiedzią skrzywdzoną; wszystko to już notuję w moich pamiętnikach, aby sława wieku i towarzystwa w którym żyjemy nieginęła. Gdy się tak bawimy, chełpimy,

kąsamy — głód już się objawił w Galicyi, głód może i do nas z pod tych śniegów, wiatrów, mrozów wychyli głowę. — Wiem ja, że ta rotacya światła i ciemnoty dobrego i złego; wzrostu i upadku jest starą jak świat, jest konieczną, jest naturalną i do przeznaczenia ludzkiego przywiązana — co już było, jest i będzie znowu co było, jestże w tem pociecha czy smutek? — przyszedł czas zdrobnienia umysłów; świat drobny, ludzie nie mogą być innemi, niedziw, że brzęczące przed pomrokiem nocy chrabąszcze, zdają się mrówkom, ptakami, orłami, olbrzymami — bo mrówki. — Nabazgrałem ci, co do głowy przyszło; spal list jeżeli jęki starca niesłusznemi uznasz, a niezapominaj o wiernym przyjacielu,

Vale et me ama
K. Koźmian.

Piotrowice, 15 Maja 1852.

Szanowny i kochany dawny Przyjacielu!

Dwojaką przyjemność sprawiłeś mi twoim listem; piękna kaligrafia dowodzi mi pokrzepione zdrowie; piękne a tak pochlebne dla mnie wiersze, jak to samo serce, tak i ten sam umysł i talent który uwielbiałem, tak przypomniały mi lepsze i szczęśliwsze czasy, których tylko pamięć jest moim pokarmem; czytając ją, mógłbym ją właściwiej do ciebie zwrócić, mutato nomine de te tabula narrat, lecz nie udając skromnego, wolę sobie przypomnieć słowa Podstolego w Krasickim: Mci księże proboszczu, możemy się obydwa pochwalić, starzy jesteśmy już się nie popsujemy. Piekło twoje kochany przyjacielu przeniosło mnie do nieba; dawno nie czytałem tak trafnego obrazu, tak harmonicznego wiersza, tak prawdziwego sądu — więc to jest tylko początek, a więc musi być więcej obrazów podobnych. — Sprawiedliwie, kaziciel dramaturgii osadzony tam, skąd wyszedł i skąd pobałamucił ludzi. Ileżby tam naszych odesłać należało; żeby ci się wywdzięczyć za przyjemność jakąś mi sprawił, robię ofiarę z miłości własnej, i oto są wiersze które przed trzema laty napisałem przeczytawszy marzenia filozoficzne Hegla.

Nędzny prochu! coś tyle wieków trudy ronił,
Chcąc odkryć co Bóg mądrze przed tobą zasłonił,
Ledwieś w wiecznych tajnikach twe utopił oko.
O! jakże spadłeś nisko! lecąc zbyt wysoko,
Rozważ, czybyś mógł życie za szczęśliwe cenić,,
Gdybyś przejrzał twą przyszłość; a nie mógł jej zmienić,
Zapłakał byś jak matka ludzkiego rodzaju,
Gdy po wzbroniony owoc, dłoń ściągnęła w Raju.
Rozum jest twym zaszczytem, ale pycha wrogiem,
Już ci ona szepnęła: czyś ty nie jest Bogiem?
A zaledwie się nadął, tej samej godziny,
Śmierć tobie przypomniała żeś bałwanie z gliny.
Po labiryncie marzeń błądząc wśród zakrętu,
Gdzie Bóg twórcą porządku, ty sprawcą zamętu;
Pókiś szedł za rytemi palcem Jego szlaki,
Duch twój zgadł ruchy światów, zliczył gwiazd orszaki,
Przedarłeś się przez ognie, powietrze i chmury,
Wybadałeś naturę, nie Stwórcę natury.
Jest w tobie iskra święta, pod znikomym ciałem,
Prysła z Boskiego łona, wieczność jej udziałem.
Więźnia twych ciasnych zmysłów niecierpliwią pęta,
On się wznosi nad wszystkie twory i zwierzęta,
Przechodnia świata, zrobił tej ziemi ozdobą,
I wiedzie cię skąd wyszedł, panując nad sobą.
Lecz jeźli żądz twych piersi pokrytych tajnikiem
Najpodlejszym ze stworzeń jesteś niewolnikiem,
Tworze zmysłowy! próżno duchem wznieść się kusisz,
Płazem jesteś nikczemnym i czołgać się musisz.

Spostrzegam z twego listu, że cię nic nie obchodzą pisma i wiadomości warszawskie, może ich nawet nie czytujesz, i lepiej robisz, bo się nie gniewasz; ja czasem się śmieję z konceptów „Kuryerkowych,“ a literackie płody żale we mnie poruszają, i często ciekawość gorzko jest przepłaconą, nie mogę się jeszcze dobrać do powieści Kraszewskiego Kordecki, a radbym wiedzieć jak wystawił oblężenie Częstochowy, którym ja siódmą pieśń mego Czarneckiego zapełniłem. Ogólnie uważam, że literatura nowoczesna z owego pierwotnego zapału stygnąć zaczyna, bąć się autorowie postarzeli, bąć się zmordowali,

bąć wyszeptali; kilku jeszcze pisze, a po Norwidzie nic nowego nic wyższego nie przybyło. Póki oczy służą, trzeba się ze staremi przyjaciołmi młodości pocieszać i krzepić; na końcu Kwietnia pisałem do ciebie w interesie mego wnuka, nie wiem czy cię list zastał w Krakowie lub też już wyjechałeś był na wieś, jeżeli cię nie zastał, za powrotem racz pamiętać o mojej proźbie, wiele rachuję na twoim wstawieniu się i pomocy, a że jej nie odmówisz ufam, na pośpiechu wiele nam zależy. Jakże się też Paryż rozbawił, roztańcował, rozfetował, te dzieci mody wróciły do małoletności, i już w dzień od pierwszej godziny z południa tańcują, prezydent nie żałuje na kapelę chociaż deficyt w skarbie; gazety ich tak nudne, że szkoda pieniędzy na nie, nie mają czem się chwalić, chwalą się podpalaniami, złodziejstwami, ojcobójstwami aż zgroza czytać. Bądź zdrów szanowny i kochany przyjacielu!

Vale amantissime
K. Koźmian.

Piotrowice, 8 czerwca 1852.

Szanowny, kochany, łaskawy, dawny mój przyjacielu i kolego!

Nic tak nie poniżyło i nie poniża naszej konającej literatury, jak te nieśmiertelne powiastki niezgrabnie naśladowanym stylem Walterskota dla zarobku, jakby parową machiną plecione. Co bądź, jak bądź, byle prędko i dużo; przeczytaj, jeżeli możesz, bo nie mogłem doczytać, tak uwielbioną powieść Kraszewskiego „Kordecki“ a przekonasz się, ciekawy byłbym jednak twego o niej zdania; w pięknym twoim wierszu „Piekło,“ umiałem ja rozróżnić, co potępiasz w Goetem. Jako autora, jako poetę, nie można tylko uwielbiać i nie przyznać mu prawdziwego geniuszu, chociaż go nie wszędzie i nie zawsze na dobre użył, ubi plura nitent, non ego paucis offendar maculis, lecz próżność w tak uczonym i tak znakomitym w literaturze mężu była nieprzebaczoną, poniżał się tem, czem mniemał że się wzniesie, ale duma i próżność są to wrodzone choroby rodu ludzkiego; mądrzy i głupi, uczeni i ciemni podlegają tej ospie, na którą nie ma vaccyny i dzióbatemi umierają. Obja-

wiła się ona w atenach i w beczce Dyogenesa i w szkarłatnym płaszczu Platona. Objawiła się w Rzymie w mistrzu najzdrowszej filozofii Cyceronie, a kto wie czy nie w Katonie. Widziałeś ją i u nas, w mędrcu filozofie abnegacie, co sobie sam pończochy cerował, a zebranemi z oszczędności bogactwy ludzkość w nauki uposarzył; tak głęboko myślał, tylu dziełami się wsławił, przecież nie tyle go ucieszyło prezesostwo towarzystwa przyjaciół nauk, ile ministerstwo stanu i dwie gwiazdy i dwa ordery, które na wytartym fraku nosił. Jednego tylko w życiu moim znałem człowieka, wyższego nad wszystkie próżności, a nim był Piramowicz, który ofiarowanych sobie infuł, orderów odmówił; proboszczem był w Kurowie i proboszczem umarł, w Międzyrzecu, może drugim był Kościuszko. Dla tego w moim poemacie „Czarnecki“ włożyłem w usta Sobieskiego słowo:

Bo stłumić próżność w sercu to nie ludzkie dzieło.

Na koniec widzisz co się teraz dzieje we Francyi, za czem się ubiegają ci mędrcy, politycy, autorowie, poeci, demokraci, socyaliści; mówiono o ludzie rzymskim, *panem et cirenses*, o teraźniejszej europejskiej generacyi, właściwiej rzec można, pieniędzy tytułów i orderów, ale zkąd ich tyle brać, ile jest pragnień. Napoleon nie nasycił chciwości i łakomstwa, bogctwami złupionemi z większej części Europy, czemże je nasyci synowiec przy 300 milionowym deficycie w skarbie, jeżeli zajrzy do kieszeni swoich wyborców, to 7 milionów votum przeciw niemu powstanie; tem czasem bawią się tańcami, maryonetkami, jak studenci lub dzieci, biedne widowisko wystawia naród najoświeceńszy, kiedy ludzi nie ma.

Gdybym teraz pisał ziemiaństwo polskie, nie miałbym serca zachęcać ziomków do pługa i roli; pamiętam kiedy w roku 1814 nieszczęsne wioski wystawione były na igrzysko wszystkich klęsk nieba, ziemi i oręża; parodyowałem wtedy Odę Horacyusza: Beatus ille qui procul negotiis, paterna rura bobus exercet... Oto jest kilka wierszy, aby do znakomitego poety nie zakończyć listu bez wiersza

Szczęśliwy, który wolen od troski
Zwyczajem swobodnej dziczy
Nie wziął w podziale ojczystej wioski,
A z nią kłopotów goryczy.

Dostrzegł społecznych ustaw obłudy,
A baczny na los plemienia,
Lichej na własność nie sklecił budy,
Drzewa nie wsadził dla cienia.

Tu wyliczywszy w kilkunastu strofach ironii, wszystkie mniemane rozkosze wiejskiego życia, nieurodzaje, zarazy, burze, grady, pioruny, zachody, podatki, posługi, egzekucye, prześladowania i uciski od zbrojnych i niezbrojnych urzędników, od złych ludzi i zwierza i t. d., tem zakończyłem:

Że słysząc Aryst wioski pochwały,
Chęć go uniosła rozumna,
Nad czem pracował wiek prawie cały,
Podpalił brogi i gumna.

Z torbą i z kijem wyszedł z swej włości,
Lecz nie szkoduje na stracie;
Na rok dozorcą został żywności,
Dziś bogacz siedzi w senacie.

A że sam odkrył do szczęścia drogę,
Puściwszy swą własność z dymem,
Braciom rolnikom dał tę przestrogę,
Lepszym życzeniem niż rymem.

Otóż masz, czegoś chciał.

Vale Amantissime
K. Kozmian.

Piotrowice 7 września 1852.

Szanowny i kochany mój przyjacielu!

Wspominasz mi o artykule o nas obu w *Czasie* umieszczonym; chociaż poufała a zatem nie zawsze ostrożna korespondencya, nie powinnaby wychodzić na świat, zwłaszcza przy usposobieniu takiem umysłów do drażliwości, skoro się to w niewinnym sposobie stało mniej mam pretensyi niż wdzięczności dla redaktora, że w takim duchu i z takiemi wzglę-

dami dla naszej starości i jakichkolwiek dawnych w literaturze zasług wspomniał o nas. Nie jestem zepsuty tego rodzaju wspomnieniami od obecnej generacyi. Owszem od galeryi fajansowej sławnych dziś autorów odbierałem same szturkańce i kolce; pierwszy więc artykuł, który mnie prawdą i bezstroną sprawiedliwością pogłaskał, nie mógł mi być tylko przyjemnym. Oby tylko nie wywołał od warszawskich arystrarchów, czy archilochów, i przeciw redaktorowi i przeciw nam jakich grubijańskich sarkazmów. Gdy przeczytasz, dostrzeżesz w wierszach niektóre pomyłki, które nie warto, aby w tak lichej mojej currente calamo pisanej romocie poprawione były, jak to: głupota zamiast głuchota i tam dalej, lecz redaktor ważniejszą popełnił omyłkę z moją chlubą a twoją szkodą, i do tej chluby przyznać się nie jestem w stanie, zrobił cię moim uczniem, twoją skromność, twoją grzeczność dla mnie istotny komplement tak właściwy ludziom dobrego wychowania, wziął za prawdę; nie tak jest, drogi przyjacielu, i to jedno z tego pisma odwołuję. Jesteśmy sobie współcześni, oba uczniowie i wychowańce jednej szkoły, ja zupełnie dawnej, a ty uczeń dawnej a niekiedy mistrz nowej. Ja byłem w zawodzie literackim starszy wiekiem, a ty starszy piórem, już ty pisałeś śmiało i dobrze choć młodszy i klaskano ci po teatrach, gdy ja dopiero zaczynałem z nieśmiałością, z której wyprowadziliście mnie, powtarzając mi bez zazdrości słowa: służmy poczciwej sławie i t. d. Jakkolwiekbądź gdy się dowiesz kto jest redaktorem tego artykułu, podziękuj mu czule odemnie. *Czas* w swojej redakcyi zawsze miał we mnie swego przyjaciela.

W żadnym roku tak mnie nie fetowano na 7 sierpnia jak w tym, miałem nawet miłą i rzewną niespodziankę na wiązanie, którą ci opiszę: Zjechali się do naszego domu jakby na ostatnie moje pożegnanie, nie tylko obojej płci bliscy i odleglejsi sąsiedzi, przyjaciele i krewni, lecz wielka część Lublina i wszystkie prawie urzędujące naczelne osoby. Uroczystość miałaby wszystkie żywioły do wesołości, gdyby nie wspomnienia, że już nie było tej dla nas najdroższej istoty, która mnie zwykle w tym dniu sercem i darami fetowała, to wyciskało westchnienia z piersi. Przy wiście zacny nasz naczelnik gubernii dobył listu do mnie od jego szwagra Edwarda Odyńca, i prosił syna mego, aby go głośno przeczytał, połączone były do

niego wiersze do starości mojej, które ci przyłączam, list zaś sam tak szczerze, tak rzewnie, tak wymownie i chlubnie dla mnie napisany, że zjednał poklask słuchających, a mnie łzy z oczu wycisnął [1]), otrzymałem go z następującej przyczyny, nie wiem czy znałeś osobę Edwarda Odyńca, gdyż na początku królestwa polskiego już nie mieszkałem w Warszawie, lecz czytywałeś zapewne jego ballady, jego Melitele i różne pisma z rozwijającym się talentem wydawane. Że był w młodym wieku zbyt nieostrożnym wielbicielem panującego podówczas równie

---

[1]) Oto są wiersze do starości:

W każdych ustach żal młodości,
W każdem sercu chęć jej zwrotu
Pory szczęścia i miłości,
Ognia myśli, ducha lotu.

Lecz czyż słońce południowe
Mniej ogniste niż u wschodu,
Czyż gdy do snu skłania głowę,
Mniej ma blasku i obwodu?

A duch światło, co nie gaśnie,
Promień słońca przedwiecznego
Miałby stygnąć, przez to właśnie,
Że ogniska bliższy swego?

Miałby słabnąć razem z ciałem,
On, którego cel na ziemi,
Wzróść i wzmódz się życiem całem,
By się zrównać z niebieskiemi.

O! kto w młodych dniach zapału
Prawdy Pańskiej słów usłucha,
Serca nie da w służbę ciału,
W świetle wiary pojmie ducha.

Duch takiego nie starzeje,
I gdy ciało plewa marna
Kruszy się w proch i niszczeje,
Rośnie w niebo, jak cedr z ziarna.

Edw. Odyniec do K. K.
na 7. Aug.

niezaprzeczonym geniuszem jak i niebezpiecznym duchem litewskiego wieszcza; zwracałem go nieraz z tej drogi radami i przestrogami memi, osobliwie po odzie do młodości, którą im głowy poprzewracał. Przed rewolucyą odjechał Odyniec do Litwy, dwadzieścia lat go nie widziałem, czasem tylko wpadły mi w ręce twory coraz z większym talentem pisane, nakoniec wyczytałem w gazecie warszawskiej pochwalną recenzyą jego Felicyty, (pierwszej chrześcijańskiej męczennicy), pod formą dramatu ułożonej. Czytając tę recenzyą i myśląc że to jest dramat dla teatru, pomyślałem sobie: non misceantur sacra profanis; tym czasem Odyniec sam przysłał mi z podpisem dla mnie tę powieść w formie dramatu ułożoną; przeczytawszy znalazłem wszystko czego po pisarzu, poecie i rymopisie wymagać można. Cel, duch, smak, godność wiersza, religijność, duchowność, zgoła wybornie napisane, a przypiski z ojców świętych okazały prawdziwego chrześcijańskiego erudyta. Odpisałem z podziękowaniem z zasłużoną pochwałą, donosząc, że się starzeję i duch mój gaśnie, to mi zjednało i list rzewny, w którym wyznaje że moim radom i przestrogom winien swoje nawrócenie się do prawej drogi, prosi o błogosławieństwo dla młodzieży litewskiej idącej jego torem, i do mojej starości ten piękny wiersz napisał; pomyślałem sobie jest choć późna nagroda dla poczciwych ludzi. Obaśmy kochany przyjacielu nigdy nie ustąpili tak w politycznym jak literackim zawodzie z prawej drogi, usiłowaliśmy naprawiać i poprawiać, nie psuć i gorszyć powiedzmy sobie przy schyłku: sunt sua praemia laudi.

Vale Amantissime
K. Koźmian.

Piotrowice 8 lutego 1853.

Szanowny mój i kochany przyjacielu!

. . . .

Lecz przejdźmy koleją do milszych przedmiotów, przejdźmy do tego zjawiska tak sprzecznego w swoich natchnieniach z duchem bezbożnego wieku, przejdźmy do młodej panny Ja-

dwigi, wieszże kto ona jest, jest to prawnuczka z ojca owego najświątobliwszego ołtarzy naszych kapłana biskupa łuckiego Cieciszewskiego po rodzonym jego bracie. Ja odważę się myśleć, że jej to natchnienie z niebios wymodlił i został ten święty na ziemi i święty w niebie kapłan. Ja ją uważam jak ową dziewicę orleańską, ową prostą pasterkę natchnioną z nieba, aby uwolniła Francyą od napastnych i łupieżnych Anglików, którą oni jak czarownicę spalili. Kto wie, niezbadane są wyroki Opatrzności, czyli i nasza młoda dziewica nie jest przeznaczoną na uwolnienie literatury naszej od tych chciwych łupieżnych powiastko-pisarzy, bezbożnych lub płaskich, ciemnych niezrozumiałych poetów nadymających się imieniem wieszczów. Tuli się ona do starszych, niewinna, skromna, lękliwa, prosi o radę, z wdzięcznością ją przyjmuje, ale nieszczęściem, otoczona jest szatanami, którzy w zdradliwych poklaskach wywołali z piekła przeciw niej próżność i już kadzidłami piekielnego dymu ją duszą, już ją zespolili z klawicymbalistą Kontskim, już ją wywlekli na kuryerkowe i gazeciarskie karty, już długiemi i przesadnemi artykułami szarzają pospolitują tę nadziemską istotę. Inimicorum pessimum genus laudantes. Uciekła ona przed temi mefistofelesami i asmodeuszami pod starszych tarczą; trzeba ją wspierać szczeremi i przychylnemi radami, aby ją nie obłąkali; już ona się zrzekła improwizacyi za radą moją, mego syna i Z. i co jej jeszcze brakuje, przybędzie. To coś o niej napisał jest tak sprawiedliwe, że podziwienie twoje zdaje mi się wyczytanem w moim przekonaniu. Podziwiasz *rzeźbiarstwo,* jakże podziwiać będziesz jej nowy utwór *Sen*, któremubym nie szczędził pochwał, gdyby nie był płodem wdzięczności dla mego syna i nie mieścił rzewnych żalów po mojej synowicy, zadziwi cię imaginacya, układ poetyczny, przejścia delikatne i zręczne, a pomysły i wyrażenia w wielu miejscach szczytne. Jeżeli gdzie niegdzie byłyby wiersze do poprawienia, rozbraja krytykę pamięć, że to pisze szesnastoletnie dziewcze, a pisze z całym wdziękiem, z całym urokiem kobiety, tak że nie wiedząc kto pisze, można zgadnąć z delikatności rysów, że to dziewczę, które nie udaje autora mężczyzny, a chociaż ją niebaczni, obłudni podziwiając na teatr wprowadzają, nie odziewa się w szaty komedyantki. Rzecz szczególna, ty i jenerał Morawski tak odlegle od siebie

mieszkacie, prawie o jednej godzinie jedne jej czytaliście płody i w podziwieniu, w uwagach, w radach tak się na jedno zgodziliście, że prawie jednemi wyrazami wypisaliście je do mnie. Ma więc za sobą powagę dwóch najstarszych, najpoważniejszych i najznakomitszych wieszczów; szczególniej twoje uwagi względem przezwiska Deotymy i inne są dobitne, słuszne; gdyby innego powodu nie było, twoje piękne i bardzo piękne wiersze w usta Dobiesława z Kurozwęk do pięknej królowej Jadwigi włożone, a tak analogicznie do niej zastotowanemi być mogące, skłonią ją do zachowania imienia chrzestnego. Wiersze te są tak piękne, tak miłe i dla starości i dla uroczej młodości, że ja kilkanaście razy je odczytując, za każdym razem upajam się ich widokiem i śmiem powiedzieć, że w nich samego siebie przeszedłeś [1]).

---

[1]) **Wiersz Autora „Bezkrólewia" do Deotymy.**

Natchnienie! to wyrok boski —
Z góry płynie zdolność nasza:
Pan układa w rozdźwięk zgłoski,
A wieszcz je tylko wygłasza.

Jeśli tak wielki początek
Ma twe natchnienie i serce,
Skryjże się w ciasny zakątek,
By dzieło boskie wydrzeć poniewierce.

Ilekroć staniesz na szumnym trójnogu,
Mnie dreszcz w oddali przejmuje za ciebie;
Tylko w pokorze hołd najmilszy Bogu,
Wszyscyż anieli nucą mu dziś w niebie?

Patrz na fiołka — jak on z nocnych cieni
Gasi swą wonią najpiękniejsze kwiatki!
Lecz gdy dnia gwiazda ziemię opromieni,
Jak on się kryje pod liść swojej matki.

Słuchaj słowika — jak przez brzask poranny
W czystem eterze dźwięczą jego nuty;
Wpędź go w kłąb dymu z nikocianny,
A wnet umilknie i padnie zatruty.

Pytam się ja nieraz siebie, dla czego tego dziewczęcia niewinne, skromne, religijne tony i jej poezya pełna imaginacyi tego rodzaju tak miłe na nas starych czyni wrażenie? i odpowiadam sobie: bo długi czas byliśmy jak ów podróżny, którego w drodze napadła noc ciemna i nie słyszał tylko krakanie wron, kawek, gawronów i kruków, a usłyszawszy głos skowronka, wróży bliski świt, po tych potwornych witoleraudach, po tych tatarskich wyciach, po tych powiastkach występnych, po tych wierszydłach doszedł nas głos flecika niewinnej pasterki i dlatego zdaje się nam nowy, że dawno słyszany i prawie zapomniany.

Jak się tam kochany przyjacielu bawi Kraków. Mój syn wrócił z Warszawy i powiada, że wyludniona po tych śmierciach, smutna i mimo kuryerkowych doniesień mało zabawna, za to nasz Lublin bawił się i bawi: bale, resursa, teatra, koncerta. Koncki tak wszystkim pozawracał głowy, dla tego podobno, że się w lubelskiem urodził, iż już nie mogą dla niego znaleźć miejsca na ziemi, pod niebo go podnoszą w odach i sonetach najprzesadniejszych, tak że gdyby powstał ów Koncki generał artyleryi co pod Sobieskim wziął Strygoń czy Parkany na Turkach, słysząc te ubóstwiania swego imienia, może wolałby być kapelmistrzem jak bohaterem, lecz do tego potrzeba było mu się urodzić w naszym wieku i w Lublinie.

Mówią mi, że jeden z najsławniejszych, najpłodniejszych a zatem z najznakomitszych powiastko pisarzy ma osiąść w Lublinie, gdzie ma ciotkę i gdzie do szkół chodził, i że ma założyć warsztat na obstalowane i już z góry zapłacone, tego rodzaju twory, przeląkłem się tego sąsiedztwa, bo gdyby mu nieszczęśliwa myśl przyszła odwiedzić starca, bądź przez cie-

---

Ty, coś czci wyższej od serc czystych warta,
Ty pisz i módl się wśród cichej ustroni;
Lotna twe płody rozpowszechni karta
I głos przychylny każdą pieśń wydzwoni.

A gdy natręctwo głowę swą wychyli,
Nęcąc do sławy z obłudy utkanej;
Odpraw ciekawców do jakiej sybili
I złóż hymn nowy do Niepokalanej.

kawość, bądź przez politowanie, bądź dla zbierania materyałów z rozmowy z nami do swego warsztatu, lękałbym stać się bohaterem jakiej powiastki, choćby sub ignoto, ale tak, żeby mnie mój dom i moje obyczaje i moje przesądy literackie (bo teraz tą cechą oznaczają nas nowi pisarze) każdy poznał, abeat a me calix iste.

Oto masz kochany przyjacielu długi list na dowód, jak mi jest miłą rozmowa z tobą, może odpiszesz choć w poście, racz zawsze co dodawać o wnuku, którego nie przestaję polecać twojej opiece.

Vale amantissime
K. Koźmian.

Kraków, 21 Lutego 1853 roku.

Szanowny i drogi Przyjacielu!

Wzmianka o Konckim przywiodła mi na pamięć całą zarozumiałość tego bardzo zdolnego artysty. Często się z nim spotykałem u wód czeskich, w których ostatnie lato przepędził. Znałem ja jego ojca, tutejszego mieszczanina i właściciela dworku na przedmieściu pod zamkiem. Wcześnie on szczycił się uzdolnieniem swych synów, a sam nie mogąc tu się utrzymać, żył z urzędziku jakiegoś w Warszawie, i tu kiedy niekiedy do swej dziedziny zaglądał; ale on żadnej nie okazywał chęci wywodzenia swego rodu od znanego w dziejach jenerała artyleryi. Dopiero, gdy dłubiduda został szambelanem królowej Izabelli, gdy na siebie nawieszał metalików, które mu się łatwo dostawały zamiast pieniędzy — urósł w potęgę i sięgnął rodowitością wyżej niż sam rozumiał. Że gra bardzo biegle i pięknie, tego mu nikt nie zaprzeczy. Nie kontent był ze mnie, że go w Marienbadzie zbliżającego się do mnie z lekkomyślnością studencką, trochę od poufałości cofnąłem i żem głośno powiedział po danym koncercie: wielki muzyk, bo gra przedziwnie nawet złe kompozycye (a były to jego własne). Dla tego spotkawszy się ze mną w Karlsbadzie, już mię z pewnym rodzajem uszanowania traktował. O mój przyjacielu! gdyby kto sławy

ludzkiej pożądał – niechaj zostanie linoskokiem lub histryjonem lub też śpiewakiem: czyli gardłem czyli na stronach. Czy kiedy przyjmowano z takiemi oznakami współczucia wieszczów, mędrców lub bohaterów, którzy ojczyznę zbawili — a jeszcze nic nie dotknąłem najwyższej dzisiejszego świata potęgi, to jest baletniczek i baletników! A jeźli i Lubelskie dobija się o sławę ojczyzny szczęśliwego fortepianisty, może dożyjem, że nie 7 ale trzy razy siedm miast i powiatów, będzie o to walczyło! W cóż się obróci walka karla siedmiu miast greckich o ojczyznę Homera? My tu żyjemy pod wpływem ciężkim wiadomości medyolańskich i wiedeńskich! Od wielu już lat miesiąc Luty był okropnym dla świata. Ale dopókiż świat cierpieć będzie tę albiońską wyuzdaną swobodę, by się na łonie tej wyspy kryły najohydniejsze zbrodnie i jak z jaskini Eola wylatywały wszystkie burze, wszystkie nieszczęścia? Za naszych czasów chciał Napoleon I przywieść to zdrad ognisko do zupełnej nicości. Nie zdołał tego — bo świat rozumiał — że oni tylko się zawzięli na niego. Dziś: *discite justitiam moniti.*

Już i czasu i miejsca nie ma, aby Cię jakim płodem pióra rozerwać, nawet umysł znużony tem, co się dzieje, ledwie się może odwołać do dawnych uczuć i do pozdrowienia serdecznego temi słowy:

Vale et me ama
Fr. Wężyk.

Piotrowice, 12 Maja 1853.

Szanowny i drogi Przyjacielu!

Wnoszę z ostatniego listu mego wnuka, że ta odezwa moja zastanie cię już w Minodze na wsi, spokojniejszej niż Kraków zaburzony tańcującemi, szalejącemi a nawet zgadującemi i wróżącemi stolikami; do Minogi więc przesyłam ci serdeczne dzięki za wiersze i twoje i Deotymy, nad których przepisaniem trudziłeś twoją rękę — nad wszystkie jej znane mi twory, te mi się najwięcej podobały; zręcznie, delikatnie, z czcią i wdzięcznością wytłómaczyła się z wrodzonej w sobie skłon-

ności do improwizacyi, od której ją podobno nie stropimy, *curavimus Babilonem et non est sanata* — w wierszach tych jest wdzięk i snadność kobiety, są gładkie, mniej mają błędów, a nadewszystko nie są przesycone już zbyt zużywanemi przez nią a zawsze jednostajnemi barwami — nie wiem dla czego w *Gazecie Warszawskiej* i podobno nawet w *Czasie* opuszczono w twoich wierszach początek. Odpowiedź Dmochowskiemu już jest niższa. Improwizacyi dla p. Augustowy (Potockiej) o kamieniach i drugiej o ptakach nie znam, ale obawiam się, aby przechodząc po kolei wszystkie państwa historyi naturalnej, jak zaczęła na ptakach, nie skończyła na muchach; żal mi tego natchnionego i utalentowanego dziewczęcia, że tak pospolituje dar prawdziwie niebieski, potępiam tych co przez czczą ciekawość rozkołysują w niej próżność, a jeszcze więcej gniewam się na przesadnych chwalców gazeciarskich. Dziękuję ci równie najczulej za twój wizerunek, który raczyłeś powierzyć memu wnukowi; odbierze go mój syn, który wczoraj wyjechał do Galicyi i na 22 lub 23 t. m. będzie w Krakowie. Jeżeli na drugiej stronie wizerunku nie napisałeś swoją ręką wierszy, które pod niego przeznaczyłeś, ja tego dopełnię; a te, które z mego serca i z mojej czci ku tobie wytrysnęły, zachowam je w tece dla wnuków; będzie on miał miejsce między Woroniczem i Staszycem, lecz dopiero jak życzę, za lat dwadzieścia lub trzydzieści, teraz zawieszę go między sobą a Zygmuntem — mam albowiem dwie ściany: jednę żyjących, drugą zmarłych; pierwsza już jest bardzo uboga, druga niestety zbyt bogata.

Co to za niegodziwa i niepamiętna wiosna, wszakże to u nas jeszcze nie przepołowiono zasiewów, oziminy piękne, lecz z jarzyn mała nadzieja — w Galicyi wylewy rzek i deszcze — wiele narobiły szkody, memu synowi pozamulały ozime zasiewy a jare rzucają w błoto. Wiesz przysłowie, że stary furman kiedy powozić nie może, to postronki kręci; tak i ja robię, witając cię na wsi następującą ramotą:

Stopniały śniegi ty z wiosny tchnieniem,
Spieszysz do wiejskiej zagrody
Przywitać zagon pługiem, a pieniem
Stęsknione gaje i trzody.

* * *

Nie wstrzymały cię tańczące stoły,
Choć się z nich wniosek nastręcza,
Może magnetyzm zastąpi woły,
Jak para konie wyręcza.

* * *

Ale nim ziemię uczyni rajem,
Nowa postępu przysługa
Bezpieczniej orać dawnym zwyczajem,
I woły wprzęgać do pługa.

* * *

Jeźli swoboda natchnień dozwala,
Znajdź wolną chwilę od pracy,
Wypręż choć jednę z stron Juvenala,
Lub w którą trącał Horacy.

* * *

Gdy twoje rymy zabrzmią po kraju
Jakby z Czarnolasu Jana,
Woń, smak starego czuję tokaju,
Bo ja nie lubię szampana.

* * *

Do czego umysł z młodu nawyka,
Z tem mu wiek stary przeminie,
Gaz strzela, szumi, pieni się, znika,
Ja zaś treści szukam w winie.

* * *

Treści co krzepi w zdrowiu, w chorobie,
Treści z dojrzałej jagody,
Płyn co tych niema przymiotów w sobie,
Mniej ma zalety od wody.

* * *

Niech się ród młody tym płynem poi
Niech go wychwala z przesadą,
Mnie zbyt staremu już nie przystoi,
Pląsać z opiłą gromadą.

* * *

Gdy za twe rymy, ślę moje wzajem,
Westchnij nad starcem zgrzybiałym,
Ty go uraczasz starym tokajem,
On ciebie lagrem zwietrzałym.

Przeczytaj, rozśmiej się, schowaj, spal, a nie zapominaj o starym i wiernym przyjacielu,

Vale et me ama
K. Koźmian.

Piotrowice, 20 Stycznia 1854.

Szanowny mój i kochany Przyjacielu!

Nie wiem jak się bawi, czy się bawi, i czy po pogrzebie Chłopickiego Kraków bawić się będzie? Jak się Warszawa bawi, wiesz z gazet i *Kuryerka* aż do falban wstążek i ledwie nie podwiązek pięknych pań. Całe kolumny zajmują litery początkowe osób, które ściągnęły wzrok *Kuryera*. Jak się bawi Paryż, jak się myśli bawić, Jędrzej ci opowiedział; Francuzi skacząc, wołają tylko: *panem et circenses.* Konia kują, żaba nogę podnosi; otóż i Lublin się bawi, resursuje, tańcuje, teatruje, salonochronuje, koncertuje, rozsyła bilety na teatr i loterye nietylko po domach i biórach w mieście, ale nawet na wsie, oficyalistki i oficyaliści się ubożą, ziemianie się ciągną, kuglarze, histryoni muzyczni wypatrują, jak kruki ścierwo, zlatują się, połowa składek wyciśnionych idzie do ich kieszeni, część zabiera światło i dekoracye, ledwo czwarta część dochodzi do sali ochrony opuszczonych sierót, wszystko się to później odbija o głodniejące wsie, bo oficyaliści wymuszone na sobie ofiary dobroczynne odbijają przez egzekucye, przez komisye i tysiączne urzędowe napaści; tymczasem sława swoją trąbą po gazetach ogłasza poświęcenie się dam patronerek aż do ich stroju w jaki się dobroczynnie ubrać raczyły, w dodatku młode adjutanty tych dobroczynnych piękności z kartą w ręku rozbiegają się na prowincye na wioski „podpisz się na bal dobroczynności“ „ale ja na nim być nie mogę“ „to nic nie szkodzi,

ale pański rubel obetrze łzę nieszczęśliwym, „ale ja tego rubla winienem pomocy mojej wsi zgłodniałym chłopkom, nie mogę ich okradać, przejdź się po chałupach a znajdziesz tam moje kleiki, moje rosoły, mój chleb; odwiedź folwark, a znajdziesz w nim nie salę ale izbę uchrony i kilkanaście dzieci żywionych, opalanych, odziewanych, mytych, leczonych“. Nic te wymówki nie pomogły; „pan nie będziesz tak twardy, abyś przeszkodził balowi na dobroczynność“; cóż robić, aby się pozbyć zagorzałego śpiewaka lub tancerza, trzeba być mimowolnie po miejsku dobroczynnym, chociaż to co piszę nie jest sarkazmem lecz prawdą — niech jednak to syknienie zostanie między nami, aby jaki niedyskretny wiatr nie zaniósł to tam, gdzieby się nie podobało. Wiele z tych osób szacuję a nawet kocham, na przesadę tylko wyrzekam w tym excepcyonalnym roku.

Miesiąc dobiega wiernie dotrzymuję umówionej acz nieciekawej z mojej strony korespondencyi, dotrzymajże i ty przyjacielu, aby póki żyjem, z nałogu nie wychodzić.

Twój dozgonny przyjaciel
K. Koźmian.

Piotrowice, 3 Marca 1854.

Szanowny mój i kochany Przyjacielu!

Przed kwadransem odjechał z mego domu najmilszy gość jenerał Morawski, kto wie, czyli go już ujrzę; w żalu i tęsknocie szukam pociechy i ulgi w korespondencyi z tobą, winienem ci odpis na twój ostatni list z 16 Lutego, doszedł mnie w dzień przybycia Morawskiego, i to było przyczyną, że wypłatę tego długu przeciągnąłem z Lutego na Marzec, a wkrótce uiszczę się i z długu marcowego. Oba z Morawskim starcy, chociaż on dziesięciu laty ode mnie młodszy, witaliśmy się wzajemnemi komplementami, że dobrze wyglądamy, czuliśmy jednak wewnętrznie tę prawdę *singula de nobis anni praedantur euntes etc.* On jednak o sobie jeszcze tego powiedzieć nie może; co już mnie tylko służy: *longa Tytonum minuit sene-*

ctus; zawsze z serca, z umysłu, z ognia, z imaginacyi ten sam, humor tylko zmienił, bo też cierpiał na fluxyą w uszach kilka niedziel, w Mińsku leżąc w łóżku i choć już wydobrzały, ostrożność od niej przywiózł z sobą, przytem trudno być wesołym w tych czasach głodnych i wojennych; jakkolwiek krótko bo ośm dni tylko bawił, spiesząc się uprzedzić jakie przeszkody w przejeździe. Z tym najmilszym gościem, przyjacielem i towarzyszem przepędziliśmy najprzyjemniejsze chwile, chociaż go wesołość odbiegła, dowcip i słodycz w pożyciu pozostały; byłeś kochany Przyjacielu i ty przywoływany do naszego towarzystwa. Czytaliśmy wypisy udzielone mi przez ciebie z twoich Bezkrólewiów, zgodziliśmy się na jedno, że wybornie malują charakterystykę owych czasów i aktorów w owych epokach działających, o wierszach ci nie piszę, bo mierne nieznane są twemu pióru, a nad wielu unosiliśmy się słusznie. Każdej poczty przynosiły nam Gazety wiersze Deotymy z kadzidłami i dymami redaktorów, że aż kichać musieliśmy, o jej obecnych tworach, zgodziliśmy się z twoją opinją — czytaj ostatnią jej niby improwizacyą Rzeczywistość i Wyobraźnia. Dziwną jest rzeczą, że w każdym jej utworze jest pomysł piękny i zdrowy, lecz serca nie ma; wykonanie i forma nawet poetyczna i razem wymus, erudycya nie w miejscu i jakby dla popisu naciągana, kolory jednostajne i jaskrawe, podobieństwa niepodobne, porównania dziwaczne i niewłaściwe, niestosowne, strofy jasne, snadne i nader piękne. Ogół prawie zawsze bałamutny i ciemny, w którym myśli celu macać i domyślać się albo zgadywać potrzeba. Komu do głowy przyjść może, jak w ostatniej, o której mówię improwizacyi, ze skrzydełek motylich budować gmach szmaragdowy, kamienny, a sale w nim z bursztynu i t. d. Tak to imaginacya bez wędzidła i miary wypuszczona, obłąkać może w czczość najszczytniejszy talent.

Vale
K. Koźmian.

Minoga d. 14 października 1854.

Szanowny Przyjacielu i dawny Kolego!

Wstydzę się mocno że na twoję równie obszerną jak uprzejmą odezwę z dnia 10 p. m. dziś mi dopiero odpisać przychodzi. Zbiegło się wiele okoliczności, aby moją uwagę gdzieindziej odciągnąć tak, że dziś pierwszy jest dzionek dla mnie do swobodnego wytchnienia. Odebrałem wreszcie wiadomość od p. Łuszczewskich, że w dniu ostatnim wrześ. lub 1 paździer. z Wiednia przez Kraków z córką Deotymą przejeżdzać będą. To mię skłoniło że 30 września wyjechałem do miasta. Był to dzień ostatni życia J. Chłopickiego. Nazajutrz zachorowałem tak że ledwie na 15 minut podczas exportacyi wyjść zdołałem 2 paźdz. było nabożeństwo pogrzebowe. Ciało wywieziono do Krzeszowic gdzie chciał być pogrzebionym. Umarł jak na placu boju, z całą pogodą czystej duszy, nawet zwykłe żarciki nie odstępowały go do ostatniej chwili. Wołają do apelu, powtarzał obecnym. Jeden krzyż legii honorowej kazał położyć na piersi, niebyło żadnej mowy, żadnego honorowego odznaczenia. Tak znikła z widowni świata ta postać nakazująca uczczenie! Nazajutrz to jest d. 2 paździer. przyjechali Łuszczewscy. Traf zdarzył, że Kraków przepełniony przejeżdżającemi od wód zagranicznych nie mógł ich przyjąć w żadnym z zajezdnych domów, ofiarowałem im przeto po polsku mój dom, co musieli przyjąć chcący czyli niechcący. Ja na tem najlepiej wyszedłem. Mieli tu oni obowiązki względem wdowy po ś. p. ministrze Łuszczewskim i względem dawnego znajomego, biskupa. Lecz wieczor dnia 3 przepędzili w domu. Tu się zebrały nasze znakomitości i trochę dam bo mi w nieobecności żony, która na wsi zostać musiała dla gości, przybyła w pomoc Władysławowa Wężykowa, wdowa po mym synowcu zaledwie z kolei żelaznej wysiadła. Była ochota improwizacyi, ale mnie tego zagaić nie wypadało pod moim dachem i lepiej się stało, ponieważ chciałem by swoją bytność zaczęła w Krakowie od czci ołtarza na co się dopiero w dniu następnym zebrało, wszakże rozmowa z tutejszemi mężami niebyła jałową i biskup Łętowski tak obfity w pomysły przewodniczył jej do późna. W dniu

czwartym poszliśmy do katedralnej świątyni. Tam na Deotymę czekała Msza św. przed ołtarzem Stanisława św. Odwiedziny kościoła i zamku, parę godzin zajęły i tu się zebrali wszyscy którzy jej pobyt ułatwić pragnęli. Obiad u Babki a wieczor liczny u biskupa, wypełniły dzień ten, poznała prawie wszystkich, o których słyszeć mogła. Improwizacya nader świetna o *górach* na które puściła się z Wawelu, a oparła się na Jasnej górze nie pomijając i *Łysej* dała wyobrażenie o jej improwizatorskim talencie. Dzień 5 poświęcony odwiedzinom góry Bronisławy i Biblioteki uniwersytetu tudzież innym odwiedzinom zakończył się w domu. Tu przyjąć wypadało liczne grono matron, dam i nawet garstki porządnej dziatek, gdzie improwizacya nowa na temat podany przez biskupa: *Miłość najwyższa*, zostawiła jeszcze miejsce do wygłoszenia wiersza pod napisem *Deotyma w kościele Katedralnym*, który Ci załączę. Tu stanęli wszyscy aż do starca A. Grabowskiego, dla którego ta dziewica szczególniejszą jako dla najletniejszego okazała uwagę. O tej improwizacyi to tylko powiedzieć mogę że wstęp jej wspaniały. Reszta mniej mi świadoma, bo jako odźwierny domu miałem najgorsze miejsce, a dziś już ledwie słuchać umiem oczyma. Dzień 6 poświęcony licznym towarzyskim stosunkom i zwiedzaniom tutejszych zakładów, ledwie zostawił cośkolwiek miejsca do lekkiej improwizacyi u pani Kuszell o narodowych tańcach. W dniu 7 żegnani przez wszystkich, odprowadzani przez wielu, wyjechali do Częstochowy, czyli tamtędy do domu. Wrażenie było ogólnie niepospolite — Ci nawet co raczyli pisać przeciw temu niepospolitemu dziewczęciu, nie usuwali się od hołdu. Źle mi wypadło, że byłem podtenczas nie zupełnie zdrowym. Wszakże przyjęcie tych gości w Krakowie było pełne powagi, a przecież nacechowane ogólnym najszczerszym udziałem.

Twój zawsze ten sam przyjaciel i sługa,
Fr. Wężyk.

Piotrowice, d. 10 Listopada 1854 r.

Szanowny mój drogi dawny Kolego i Przyjacielu!

Jak kazałeś w ostatnim twoim liście z dnia 14 październik z Minogi pisanym zatrzymałem się z odpowiedzią na listopad czekając aż powrócisz na zimę do Krakowa, teraz kiedy mi mój syn donosi że już jesteś w Krakowie, biorę pióro do ręki, abym ci podziękował za tak powabne i szczegółowe opisanie bytności Deotymy z zacnemi jej rodzicami, w tej dawnej historycznej stolicy, dziękuję zaś najwięcej za arcypiękne o niej wiersze, któremi natchnęła cię natchniona improwizatorka; radbym i te czytać, może ich dopadnę w waszym *Czasie*, i ufam że wśród tylu pamiątek nie są niższe od poprzedzających utworów. Boleję nad tem że drobiazgowość naszego wieku, a raczej młodego plemienia poetów, autorów, krytyków a szczególniej gazeciarzy, czy zazdrością, czy jałową złośliwością wszystko robi, aby zrazić ten nadzwyczajny i jedyny talent, skromnej, niewinnej i z nieba natchnionej improwizatorki; ma ona wprawdzie silnych obrońców we własnych swoich tworach i w znakomitych powagach prawdziwych znawców jakim jesteś; twoje wiersze i dawniejsze i ostatnie pewniej ją jak już to namieniłem doprowadzą do potomności, niż niezręczne rady, przesadzone pochwały i t. d. a żądła drobnych Arystarchów stępić się muszą na takiej tarczy jaką się odziała. Zastanawiając się nad obecną drobiazgowością umysłów, przyszła mi myśl do bajki, której treść powierzyłem Morawskiemu aby ją pięknym swoim rymem ozdobił. Odmówił zapewne z obawy aby samochlubnej powszechności na siebie nieobraził więc ja stary chociaż się wyrzekłem rymoklectwa i poezyi, chociaż nieposłuszny rym niesłucha już mego głosu w tęsknych obecnych chwilach wygniotłem lichym wierszem tę treść pod tytułem: *Mrówki* i *Kogut.* Nigdy do tego rodzaju rymotworstwa niemiałem zdolności, wolałem dobre chwalić, jak nikczemne bazgrać. Napisałem kilka powieści rymowanych i te znajdują się między publicznemi pismami po dziennikach. Jednę tylko w życiu mojem napisałem bajkę epigrammatyczną i tę drugą którą ci posyłam. Przeczytaj osądź, popraw, zachowaj lub spal, a gdybyś ją za niebardzo

złą uznał, a waszemu *Czasowi* przydała się na co, z moralnego sensu, a żądał, możesz mu jej udzielić z ostrzeżeniem wyraźnem aby jej literami memi nie oznaczył bo nie chcę zadzierać z liczną literacką gawiedzią [1]). Pisał mi syn że poznał p. Kaczkow-

---

1) MRÓWKI I KOGUT.

Bajka.

Gdy słońce z nieba ściąga promień blady
I pomrok bliskiej nocy wróży przyjście,
Zwykle się wszelkie ruszają owady,
Co się w dzień kryły pomiędzy drzew liście. —
Z tego rodzaju pod zamierzch wieczorny
Chrabąszcz potworny
Brzęcząc, latając, raz górnie, znów nizko,
Spadł na mrowisko.
I zaczął łazić wraz z mrówki drobnemi
Raz po wierzchu mrowiska, to znowu po ziemi;
Nakoniec z barków skorupki rozkładać
Brzęczyć, latać, znowu spadać.
I w ciemny przestwór wzleciał tak wysoko,
Że go mrówczane nieschwyciło oko.
Więc zaraz drobna gromada
W wielkie podziwienie w pada.
Wprawdzie jedna mrówka stara,
Znając co to za poczwara
Rzekła do młodszych: to chrząszcz, co zwykle w tej porze
Lata po dworze;
Ale od wieków nie wiem zkąd pochodzi,
Że nigdy starszych niesłuchają młodzi.
I tu twierdzeniu doświadczonéj mrówki
Przeciwią się młode główki
Wyrokując jednozgodnie
To ptak, to ptak niezawodnie:
Choć go pierze nieodziewa,
Ptak, ptak, bo lata i śpiewa.
A więc u drobnych główek z rozumu zgorszeniem
Chrabąszcz zostaje ptakiem, a jego brzęk pieniem,
Kiedy w tem kogut siedzący na płocie,
Dziwiąc się małych istotek głupocie,
Kogut co deptał chrząszcze i dziobem potrząsał
Na krzywdę rodu swego się rozdąsał
I gdacząc ozwał się z gniewem:
Toż u was chrabąszcz ptakiem, a jego brzęk śpiewem

skiego młodego pisarza rozmaitych powieści podobał mu się i z układu i ze zdolności i z talentu którego dał liczne dowody, liczy się on między wielbicielami talentu Deotymy, i podobno wygotował odpowiedź i obronę jej naprzeciw wymierzonym na nią pociskom, skłonny jestem wierzyć i spodziewam się, iż ta odpowiedź, odpowie sądem, delikatnością i trafnością swojemu celowi, bałbym się tylko, aby przeciągnięta dłużej ta literacka polemika, wprowadzając ciągle imię Deotymy na karty gazeciarskie, nie spospolitowała i nie poniżyła imienia tego skromnego i niewinnego dziewczęcia, zważ to czyliby niekorzystniej było dla niej, niedrażnić przeciwników, i przerwać gardzącem milczeniem. Lecz podobno już zapóźno bo listy p. Kaczkowskiego już mają być drukowane w *Czasie*, nieczytałem ich jeszcze ale mój syn chwali. Jęknąłem boleśnie nad śmiercią zacnego jenerała, qualis vita finis ita. Odważny w bitwach umiał odważnie jak żołnierz katolik umierać, żałuje Krakowa że najcelniejszą ozdobę stracił, dziwię się, że zdarł z swoich piersi krzyże narodowe i tylko w francuzkim pochować się kazał, miałżeby urazę do swego narodu?

O nędzne, drobne stworzenia —
Wyjdźcie przecie z zaślepienia,
By poznać wartość lichego owadu
Przejdźcie do sadu.
Ujrzycie jak tam z niego ogrodnik sad czyści
Otrząsa z drzewa i liści,
Z ścieżek i ulic w kupy zmiata po ogrodzie
Na żér najpodlejszej trzodzie.
Spojrzcie na gaje; któż to obnażył te drzewa?
Z nagich i pustych uszli goście leśni
Ni w nich ptasząt, ni w nich pieśni,
I w maju nawet słowik w nich nie śpiewa
Ale pustowi i nocni tułacze
Sowy, w nich piszczą, albo wrona kracze.
Ja ptak z rodu, z ptastwem żyję
Więc wam prawdy nieukryję,
Wy o przymiotach ptaków sądzić niesposobne
Boście mrówki, boście drobne.
Ta bajka, chociaż w rym przybrana lichy,
Oby pisarzom, wieszczom, ukróciła pychy,
Imion swych u potomnych sądu nieustalą,
Chociaż się sobą chełpią, i mrówki ich chwalą.

Co za podłość! pisał mi mój syn i jenerał Krasiński, że złodzieje, zgwałcili grób jego i obrali jego piersi ze złotego obrazu N. Panny i z orderu Legii. Co za zbrodnia, ale złodziejstwo jest teraz narzędziem socyalizmu, nie tylko u nas, lecz na całym świecie rozpościera bezkarnie swoje panowanie. Dzienniki zagraniczne i nasze, całe kolumny zapełniają złodziejami, kradną cicho i jawnie najniepodobniejsi do tego ludzie, dzicy ucywilizowani, wykształceni, lecz tak było od początku świata, już sam Bóg w przykazaniach swoich, rzekł niekradnij, więc kradziono zawsze i kraść będą, bo taka jest natura ludzka; gdy ją religia niepoprawia. Szczęśliwi jesteście że macie pasterza oświeconego i gorliwego w szacownym księdzu Łętowskim racz mnie przypomnieć jego dawnym przyjaznym wiąz kom. Czciłem ja zawsze jego osobę, ceniłem ducha pism jego jędrność stylu, czerpaną ze szczęśliwszych wieków, i obszerne wiadomości, któremi swoich czytelników ukarmiał, mam jego dzieła, nieraz je odczytuję, w tym głodnym dla ważniejszej literatury czasie, był kiedyś łaskaw udzielać mi swoich szacownych utworów. Pod tym względem i my szczęśliwi jesteśmy, równie w dyecezyi jak w parafii. Proboszczem mamy jak wiesz ks. Walentego Baranowskiego Ex-Pijara uczonego, oświeconego, wymownego, utalentowanego i z całą pobożnością szlachetnej duszy poświęcającego się wzorowo parafialnego kościoła obowiązkom, mimo urzędu surrogata, którym go biskup zaszczycił. Jest to brat rodzony Baranowskiego astronoma. Jeżeli czytałeś wiersze moje do niego drukowane, w przeglądzie Poznańskim, masz tam wierny obraz jego. Pasterzem dyecezyalnym jest ksiądz Pieńkowski Lublanin. Syn sąsiada i przyjaciela jeszcze ojca mego i mnie samego kolega szkolny, przyjaciel i sąsiad brata mego biskupa kaliskiego dotąd po Piramowiczach Proboszcz Kurowski i ich wierny naśladowca, aż do zakochania się jak tamci w ogrodach, ztąd w całej obszernej nad wiślańskiej okolicy poważany i kochany, przechodząc przez stopnie, umiał sobie szlachetnym postępowaniem zjednać ufność rządu i w roku przeszłym w Petersburgu na biskupa lubelskiego pomazanym został. Zawdzięczając on swemu surrogatowi podróż do Petersburga, który ledwo życiem dotknięty cholerą nieprzypłacił, zjechał na odpust 1 listopada do jego probostwa do Bychawki, lecz zjechał z całą pobożną i ewangieliczną skromno-

ścią i pokorą, zakazał wszelkich mów, wszelkich pochwalnych kazań, wszelkich powitań, przez dwa dni celebrował bierzmował. Otoczony kilkudziesiąt familiami obywatelskiemi i wiejską ludnością do 4,000 wynoszącą, rozrzewniający ten widok, o którym mi moja żona i wnuka którą bierzmował opowiadały, dodawało temu obchodowi uroku, szlachetna i łagodna postać biskupa, którego twarz przypomina rysami, ewangeliczną pokorę, połączoną z godnością arcykapłana, owego Cieciszewskiego biskupa Łuckiego, sławnego z cnót i świętobliwości w całym kraju, którego niewiem czyli zapamiętasz. Dla mego defektu niemogłem jechać na jego powitanie, lecz on jako dawny przyjaciel zapragnął mnie odwiedzić, zjechał więc do naszego domu rano na śniadanie, przyjąłem go z moją obecną rodziną i całą czeladką u ostatniego schodu naszego domu, ucałowałem jego rękę, prosiłem o błogosławieństwo, dał go kilkakrotnie, i z rozrzewnieniem uściskawszy mnie podał mi rękę i tak wprowadziliśmy się do salonu; miał z sobą auditorów, surrogatów i uczonego rektora pijarskiego z Opola. Po lekkiem posileniu się i toaście za jego zdrowie, żądał aby mu co przeczytać z moich pamiętników. Odczytałem mu o Woroniczu, co go rozrzewniło, bo szacował i czcił tego arcykapłana Lewitę. Ksiądz Baranowski przeczytał pobożne wyjątki z Czarneckiego. Powtórzywszy błogosławieństwo odjechał o drugiej z południa do Osmolic, zaproszony od Stadnickiego na obiad, tam nocował i nazajutrz zadowolniony, zadowolniwszy wszystkich, odjechał do Lublina zostawiwszy w całej parafii najmilsze wspomnienia. Lublin nasz zapewne nieomieszka podać do gazety wymownego artykółu, aby tylko niewpadł w styl przesadny i plotkarski. Ty mi kochany przyjacielu w podobnym sposobie i w podobnych szczegółach, opisałeś bytność Deotymy w Krakowie vicem pro vice reddó tibi amice, opisując naszą uroczystość parafialną. Jeżeli cię znudzi, przypisz to żem stary zgrzybiały, już nie mam ani twego umysłu, ani twojej ręki i pióra już ja ci to powiedziałem, że ty mnie nascycasz starym tokajem, a ja ciebie zwietrzałym cieńkuszem.

Vale Amantissime,

K. Koźmian.

Kraków 2 stycznia 1855.

Szanowny i sędziwy mężu, a mój nieoceniony przyjacielu!

Przeszedł więc dla nas rok stary, a chociaż jest pochowany na wieki, gdy się obejrzym na przeszłość, przeszedł on w rozmaitych kolejach, zawsze atoli i jako tako i my postawieni nad kresem doczesnego bytu, możemy sobie powinszować, żeśmy go bez wielkich wstrząśnień i w znośnem zdrowiu przebyli. Reszta jest na przyszłość jak dotąd była w rękach Boskich. Tej to prawicy wszechmocnej poruczając się z najwyższą ufnością, mało już mamy życzeń dla siebie, a bardzo wiele dla tych, którzy po nas zostać muszą i zostać powinni. Ale i na to jest środek, aby nie zgrzeszyć przesadą żądań, to jest codzień za boskim prawodawcą naszego zakonu powtarzać: „Bądź wola twoja o Panie!“ Niech w tem i nasi następcy znajdą dla siebie od nas sumę wszelkiego życzenia.

Pisać o ruchu umysłowym z Krakowa, byłoby to co żądać ananasów z Petro-pawłowska. My się już wyszeptali pod bytność Deyotymy w Krakowie. Zostały tylko kwasy z powodu listu Kaczkowskiego. Niech on odpowie, jakiem nowem dziełem, a odpowie wtedy zwycięzko. Wydrukowany w Petersburgu romans pod napisem *Mąż szalony*, musiał już trafić i do was, chociaż jego wydanie oznacza rok 1855. Drażniłem się z autorem, że go czytać przed czasem nie mogę: bo gdybym coś o nim napisał i w r. 1854 skończył życie, łatwoby zaprzeczyli potomni. Ale że nie było tego obawy, więc znalazłem treść prostszą i naturalniejszą od Murdeliona i Braci ślubnych, co mię bardzo ujęło; ale forma zależąca na opowiadaniu jednego kozaka może jest mniej właściwą do rozwinięcia takich zdolności, jakie Kaczkowski wykazał; prosiłem go, aby mi tego kozaka odstąpił, choćbym miał zostać jego stenografem, ale nie przystał na to bynajmniej.

Deotyma przestała bawić Warszawę improwizacyami, za to sypią się poemata. Wyszła z druku Tomira i czekam jej przybycia, Zapowiedziany mi Piast ma w biegu tego miesiąca stanąć pod moim dachem. List świeży do Kaczkowskiego skreślony, nowy poemat zapowiada, do którego studya bardzo ją zajmują. Gdym nad tą płodnością rozmyślał, przybiegł do

mnie profesor Kremer i przyniósł bardzo ważną i piękną odę do słowa. Nie mając nic własnego na kolędę dla ciebie zacny kolego, siadam do kopii tej ody, żeby ci chęć moją udowodnić sprawienia jakiej przyjemności, jeźli przypadek nie zdziałał, by ten poemat był już znajomym.

Powód do niego dał pierwszy wieczór w twym domu podczas którego p. Kremer poczęstował nas bardzo pięknie wystawioną rzeczą: o sztuce średniowiecznej. Oda poczęta w nocy 3 października została dokończoną w Warszawie i nosi też na sobie piętno wykończoności daleko wyższe od innych płodów tej poetki, powinszowałem jej tego i prosiłem o więcej podobnych improwizacyj.

Mniemam, że będziesz kontent z tej komunikacyi. Lecz kiedym zaczął przepisywać, nadeszli do mnie Paweł Popiel i Kaczkowski, obadwa nie znali tego wiersza, więc im go udzieliłem. Pierwszy twierdził wraz ze mną, że dotąd nic podobnie poprawnego, a może i wznioślejszego nie napisała D. Drugi ani słowa nie wyrzekł i bardzo obojętnie tę objawę przyjął; czy ci panowie nie pojmują co to jest horacyszowskie *et os magna sonaturum* czy im koniecznie potrzeba szczypiących i kąsających wyskoków Słowackiego? Niech i tak będzie, ale prawdziwie szkodaby było takiego rozwydrzenia w ludziach zdolności. Nie mogliby to oni zostawić litarackim libertynom, których jest wszędzie nie mało. Ale kto wie, czy się nie mylę w moim poglądzie, przecież nie zdołam zataić nieprzyjemnego wrażenia, a nie chcąc pod jego wpływem dłużej się rozpisywać; kończę, ściskając serdecznie twoją prawicę i prosząc jak zawsze, abyś mię ciągle polecał łaskawej uprzejmości wszystkich twoich.

Zawsze ten sam i najżyczliwszy
Fr. Wężyk.

Piotrowice, 15 maja 1855.

Szanowny mój ukochany i drogi przyjacielu!

Bóg nas chłoszcze wszystkiemi plagami, a niepoprawiamy się! Co to za zamęt i w społeczności i w literaturze: żale,

płacze, smutki, narzekania mięszają się z zabawami, tańcami, strojami i wśród biedy z niesłychanym marnotrawstwem czasu i pieniędzy. Czytujesz gazety, masz w nich tyle monologów ile różnego rodzaju zabaw i wesołości. Ale to samo na całym świecie dzieje się, działo się i dziać będzie. My tylko jesteśmy małpami, nie naśladujemy co dobre, piękne i szlachetne, lecz przedrzeźniamy co jest nikczemne i podłe. Długie życie dało nam poznać, kochany przyjacielu odległych od nas potomków, bo chociaż się mniemają za potomność, niech sobie nie przywłaszczają tego imienia; nasza potomność objawi się dopiero za jakie 200 lat, gdy już z kości naszych ledwie szczypta popiołu zostanie! Koleją rzeczy ludzkich, obecna potomność wprzód się strawi sama sobą, i Bóg wie gdzie świat i ludzkość doprowadziwszy, zapadnie się w otchłań, a wróci to, co już było. Prawdziwa potomność nasza, ta święta wyrocznia, dla której sądu i potwierdzania tyle trudów, tyle podjęliśmy ofiar, wróci wraz z takimi ludźmi, z jakimi żyliśmy, jacy byli dla nas przykładem i wzorem, zachętą do dobrego, hamulcem od złego. Żyjmy w tej nadziei, inaczej nie wartoby żyć na świecie; a kiedy w tych czasach prawda, bezstronność, szlachetność, rozsądek uszły w niebo i Bóg powołał je do siebie, dążmy za niemi za przewodnictwem świętej religii, jedynej i wieczystej prawdy.

Pisałem ci w roku przeszłym, że miałem u siebie odwiedziny Franciszka Dmóchowskiego, który przez parę dni bawiąc w Piotrowicach, zalewał mnie milionami wierszy z pamięci, jak grad sypanemi; wiesz jak on się łatwo unosi, wszakże niedość, że wierszem ubóstwił Deotymę; teraz w rok przyszła mu myśl, po odczytaniu Czarnieckiego, mnie przechwalić; przyjąłem z wdzięcznością, acz nie bez zarumienienia, zbyt pochlebne pochwały [1]).

---

[1]) KAJETANOWI KOŹMIANOWI

na pamiątkę pobytu w Piotrowicach w miesiącu październiku 1854.

F. S. D.

Jak niegdyś, sławną Sybilli świątynię
Zwiedzano z hołdy rzewnemi,
Tak pamięć cichej Piotrowickiej ziemi
W sercu rodaków nie zginie.

Winszuję ci, żeś zawiązał stosunki literackie ze stróżami Biblioteki Ossolińskich; ztamtąd jeszcze wychodzą pisma zdro-

---

Czy kto zasłynie poezyi utworem
Czy tylko jej wdzięk czuć zdoła,
Tam wszyscy, nasze uchylimy czoła
Przed polskich wieszczów nestorem.

Tam on, niezgięty pod ciosów brzemieniem,
Wieśniaczym otoczon ludem
Uiścił własnym przykładem i trudem
Co pięknem malował pieniem.

Nie złożył pióra mąż szronem okryty;
Silniejszym ogniem dusza się zajęła
Wiersz w odrodzonej zajaśniał ozdobie;
Wierna mu lira żywszym dzwiękiem drgnęła.
A wieszcz śpiewając bohaterskie dzieła
Wzniósł pomnik wielki, czasem nie spożyty.
I zbawcy kraju i sobie*).

Jakaś czarowna niepojęta władza
Duch twój ożywia i dzielność odmładza
Jaka? — Bo tobie przewodził do pracy
Homer, Wirgili, Tacyt i Horacy
Z nich wziąłeś przykład, jak mąż wielki, prawy.

„Ślepego gminu nie lęka się wrzawy,
„I kiedy ziemię w proch burża rozmiata
„Stoi niezlękły na zwaliskach świata,
„Czołem uderzy ludzkość ujarżmiona
„Lecz nieugięty wytrwa duch Katona.

Z tych żrzódeł płyną i dzieł twych zalety
I czerstwość myśli i duszy spokojność
Przez nie potrójna zdobi cię dostojność
Obywatela, starca i poety.

A gdy nurt Lety w swoje czarne tonie
Wątłe chwilowe utwory pochłonie,
To, póki Polskie żyje pokolenie
I twoje żyć będzie pienie.

Wyszyna, 12 Kwietnia 1855 r.

---

*) Poema bohaterskie — o Stefanie Czarnieckim w XII pieśniach, dotąd nie wydane.

we i w duchu prawdziwie naszym. — Autorowie są przy samem źródle nauki, uczą się i uczą. Pisma Dzieduszyckiego, Szajnochy itd. zawsze celować będą przed innemi odłamkami literatury bądź Księstwa, bądź Królestwa; czy to uważałeś, że też tak są obcymi w dziejach ojczystych, że o Księstwie Warszawskiem, kto się w niem wsławił, jakby o nim nie słyszeli? Suprema ignorantia!

Plagi na wsiach nie ustały; febry, tyfusy, zapalenia się szerzą. Próżniactwo, pijaństwo, żebractwo, a nadewszystko złodziejstwo górę bierze. Rodzice uczą dzieci nie pracy lecz żebractwa.

My oboje starzy żyjemy jak Filemon i Baucis; moja żona cierpiąca na attrisis, pije serwatkę z rady doktora. Ja telepię się, zataczam się na nogach i krzepię się jak mogę, mniej mam cierpienia niż osłabienia sił, spiritus promptus, caro infirma. Zobojętniałbym zupełnie dla towarzyskiego życia, żeby was trzech, którzyście mi pozostali: ty, Krasiński i Morawski, nie wciągali do niego; niech wam Bóg odpłaca dłuższem życiem, a czerstwiejszem niż moje zdrowiem. Gdy do grobu wstąpię, rachuję na was, że nie pozwolicie bazgraczom bezcześcić moich popiołów.

Vale amantissime
K. Koźmian.

Marienbad, 6 sierpnia 1855.

. . . .

A Deotyma, pewnie mię zapytasz, co tu porabia, jakie na licznej publiszności czyni wrażenie? Na to w krótkich odpowiem wyrazach. Taż sama, jaką poznałem w Karlsbadzie, jaką przez dni kilka widziałem w Krakowie, skromna i cicha w towarzystwie, szanująca starszych; pije wody, bo kazał doktór; lecz oko jej błąka się po górach i borach, a duch jeszcze się wyżej unosi, bo tak jej kazał Stwórca. Chadza najczęściej oparta na ramieniu tego, co ci to kreśli. Tylko przez dwa dni miałem rywalem naszego wspólnego kolegę i tak jak my mło-

dego, to jest ks. Bielińskiego. Wynalazł jakieś pokrewieństwo, i pójść w kąt musiałem jak zmyty. Alem go przetrzymał, bo już wyjechał do Egry.

Ciekawi rodacy zebrali się w dniu jednym do pani Niny na kawę; a że improwizacye zakazane są w Marienbadzie, więc nam czytała jednę z warszawskich pod napisem *Astronomia.* Mój rywal nie chciał wyjechać, póki nie dostał kopii tego poemaciku. Pojmiesz bez trudu, że mu ją nazajutrz wręczyłem, poczem przecie wyjechał.

Zaraz z kopyta pragnąłem zapoznać się z Piastem. Znaczna część tego poematu jest już spisaną. Reszta jest w sercu i głowie i wyobraźni, która zanadto jest bujną, aby się dała ująć tak snadno w ramy sztuki. Mam niepłonną nadzieję, że ten poemat zajmie kiedyś powszechną uwagę. Miałem już w ręku pareset wierszy pod napisem: *Wędrówka poety;* jestto jeden z celniejszych utworów dziewicy-wieszcza. Jeszcze parę tygodni mam widok korzystania z tego miłego towarzystwa, przy niem wody tutejsze nowej dla mnie nabiorą dzielności.

Lecz inny jest cel niniejszego pisania. Dzień dzisiejszy jest wigilią tego święta, które całe Lubelskie obchodzi, a cały kraj powinienby w uroczystość zamienić. Nie będę się wysadzał na powtarzanie tego, com tylekroć skreślił. Lecz tu jest miejsce do przywiedzenia na pamięć tych dwóch wierszy:

O chlubo starców — wzorze dla młodzieży!
Niech nam brzmi długo głos twój zawsze świeży!

Jeżeliś łaskaw, napisz do mnie w końcu bież. miesiąca, adresując wprost do Krakowa, by mię to doszło między 26ym a 30ym sierpnia, na co z Minogi odpiszę. Racz mię przypomnieć łaskawym względom szanownej małżonki i uprzejmości syna i wnuka. Sam zaś wiersz statecznie niezmiennej mojej przychylności. Czciciel całej rodziny

Fr. Wężyk.

Minoga 7 Października 1855.

. . . .

Muszę podziękować ci za odpis improwizacyi Deotymy: „Nad morzem“. Słyszałem o niej od tych, co byli podówczas w Ostendzie. Pewnie mię dojdzie odpis od autorki. Ale: *bis dat, qui cito dat,* więcem się ucieszył, do tego, który mię doszedł, nader miłą rączką skreślony. Chcesz wiedzieć, co trzymam o tej improwizacyi? Otóż ci odpowiem anegdotką. Wiadomo nam starym, że biskup kamieniecki Dembowski wyksiężył się, będąc już wdowcem. Gdy więc raz egzaminował kleryków i zapytał się z nich jednego: quid est matrimonium? ten mu odrzekł; Illustrissime! quasi nesciretis? O! wiesz ty dobrze, co powiem o tym nowym dowodzie wiecznej maniery, przesyconej wiedzą. Jeśli to poezya? na to zapytanie czekam odpowiedzi od starszego wieszcza, to jest od p. Kajetana, albo nawet od p. Andrzeja.

Podobnie wygląda i *Astronomia*, o której w liście poprzednim pisałem. Wszystko to już jest w cenzurze warszawskiej i wkrótce wydrukowane zostanie. Szkoda, że dzisiejsi pisarze tak się spieszą do nieśmiertelności i koniecznie muszą poruczać drukom niedojrzałe płody. Lecz kiedy już, a raczej jeszcze nie wzdrygamy się mówić o płodach dzisiejszych, nie pomnę, abyśmy kiedy z sobą mówili o Syrokomli. Zajął mię on w swym czasie przekładem naszych poetów, co po łacinie nucili. Wielka to i piękna była przysługa. Później wydał tomik poezyj, między któremi odznaczała się „Lalka“. Ogół dosyć ponętnych płodów był niepoślednim zjawiskiem. Nastąpił Marger i Chatka w lesie i Córa Piastów. Ta ostatnia najbardziej mię zajęła. Wstęp do niej mocno mi się podobał. Czemuż uległ powszechnej wadzie dzisiejszych, częstemi zaniedbaniami stylu! Wszak to jest owo *os magną sonaturum!* Wszak wielki jeden pisarz powiedział: *Le style, c'est l'hommé!* Nie godzi się czynić igraszki z narodowego języka. Ale inna niesumienność gorzej mię razi. Gdzieś, kiedyś, dawał sprawozdanie J. I. Kraszewski z pism Syrokomli. Więc jak łatwo pojąć, chwalił i chwalił bez miary. Czemuż na utwierdzenie swego zdania powybierać raczył najsłabsze miejsca, a pominął te,

które istotną zaletę pisarza stanowią? To jest nowego rodzaju strategia. Wszakże pomimo tego p. Syrokomla w pierwszym rzędzie powinien stanąć i może wyżej od Pola. Mówią, że jako człowiek, jest blizki końca swego zawodu. Tembardziej powitać wypada jego śpiewy, może łabędzie. Nie dzielę uniesień dla nadto pobożnego Lenartowicza. Jest w nim coś nienaturalnego, wyrobionego, co nie płynie z natchnienia. Znałem go przed kilku laty; radbym żyć dłużej, aby się o istocie jego powołania przekonać. Nie czytałem dotąd „Bayronisty“ Kaczkowskiego. Wielu się na rozwlekłość tego utworu uskarża. Może nawet z tej przyczyny weszła na scenę kiełbasa, że nie miał o czem pisać, a trzeba było koniecznie powieści o 3 lub 4ch tomach. Mylę się; ale źródłem podobnych zdrożności są licytacye księgarskie na pisma. Źle było, gdy autorowie szli do drukarni o żebranym chlebie; gorzej, gdy się dowcip na łokcie i cale sprzedaje i obstalunki znieść musi. Jakaż jest prócz tego przyszłość tych panów? Żaden z nich nie doszedł do Eugeniusza Sue, albo Dumasa. Tamtych pisma rozchwytywano, jak bułki świeże wśród głodu. Ale ledwie lat kilka przeszło, a dziś już o nich nie ma i mowy. Krzyczeli nasi arystarchowie na Walter-Scota, przecież jeszcze się nieraz do jego płodów wrócimy, a zapomnimy nawet o Bayronistach. Już mi ten tytuł niebardzo przypadł do smaku! Jakkolwiek Bayron był wielkim, że swoje poemata wysnuł z *negacyi*, nikt o nim za dni naszych nie mówi jako o wzorze. Dziwiłem się nawet, że Morawski podjął niewdzięczną pracę wykładu tego poety.

Zrobiłem sobie figla, którego mi nie tak łatwo będzie w tej chwili czem innem zastąpić. Jeszcze w miesiącu Czerwcu obiecywałem ci kopie korespondencyi z Helclem, dla sprawienia rozrywki. Już prawie była gotowa i miała ztąd odejść z tym listem; cóż kiedy jak się wykazało, została w Krakowie. Dziś więc musisz przyjąć tę odezwę, że tak rzekę, na sucho, a za to, jeźli Bóg dozwoli, list na Listopad będzie tłuściejszy, bo podszyty zapowiedzianą tylekroć ramotą.

Za dni parę wyjadę ze wsi przed zwykłym czasem na leże zimowe; to bowiem dotąd nie miało miejsca przed 1 Listopada; ale zasiawszy wszystko i posprzątawszy co tylko było i z łąk i z pola, wykopalisko kartofli zostawiam ludziom, dość zadowolniony, że chociaż ten płód ziemi nie wydaje jak bardzo skromny plon

(bo ledwie 6 ziarn), przecież nie zginął, jak się tego obawiano, i jest w dobrym, przynajmniej na oko, rodzaju. I włościanie nasi nie mając wiele poczciwego żytka, będą może z tego względu ochronieni od głodu. Biedni to ludzie; drożej zapewne każą dziś sobie płacić za pracę, ale za drogością zboża (bo tu żyto po zł. 48, pszenica po 70) idzie drożyzna wszystkich potrzeb, a na wyludnione już wioski spadła nadto wśród zbiorów cholera! Niezbytnie ucierpiała z tego względu włość moja; na 80 osady, wypadło tylko 7 zgonów; przecież wieś jedna, do tutejszej parafii należąca, dostarczyła 16 mogił. Toż samo spotkało inne wioski sąsiednie, a dotąd jeszcze twierdzić nie można, by ta zaraza wygasła. Gdzie niegdzie już w końcu zeszłego miesiąca dała się uczuć w poblizkich miejscach. Znałem i z sumienia i z pięknej strony O. Wszelakiego, nie dziwię się przeto słusznemu żalowi tych, co bliżej na niego patrzeli. Kraków dosyć obronną ręką wyszedł z zarazy, a co jest dziwna, że z 900 ubogich, żywionych przez ciąg cholery ciepłą strawą, ani jeden nie umarł. Mam tę wiadomość od fizyka miasta, co jest zawsze godne uwagi. — Nasz Jakubowski nie jest w normalnym stanie zdrowia. Bezsenność go dręczy i nie może na nią znaleźć sposobu Wdał się w rozmaite spory ekonomiczno-literackie, jeszcze nie ochłonąwszy od chęci drukowania tego, co napisze. My starsi może i piszem, bo to się stało potrzebą życia, ale niekoniecznie, kwapimy się do pras drukarskich; są one u nas mieczem obosiecznym. Gdzieindziej stanowią druki tylko powszednią mowę, rozpowszechnioną dla wielu słuchaczy; wolno jest przyjąć albo nie przyjąć to, co autor wygłasza. Dzień jeden zaciera płody drugiego, i pośród tego ruchu to tylko wypływa na wierzch, co za pożyteczne lub piękne uznają. U nas są inne wcale pojęcia, a rzadki, coby się nie urażał za przeciwne sobie mniemania. Chciałbym tych panów posłać do Anglii. Tam w parlamencie prawda aż do ostrości wyrażeń dosięga; ale najzapamiętalsi przeciwnicy wśród posiedzenia, jedzą po nim z sobą obiad jak przyjaciele, bo ich polityczna rola skończyła się razem z posiedzeniem zamkniętem. Otóż nasz zacny rektor przypłaca zdrowiem nietolerancyę cudzego zdania.

Rozpisałem się zanadto; ależ jak się powstrzymać, mając rozmowę z tak poważnym, zacnym i prawego serca, a oświe-

conego umysłu korespondentem, którego nieocenionej pamięci i łaskawej uprzejmości całej rodziny poleca się dziś jak zawsze

Fr. Wężyk.

Dnia 14 lutego 1856.

Ukochany i drogi mój Przyjacielu!

Z łóżka do ciebie piszę i dlatego tak krótko. Dom nasz przemienił się w lazaret, prawdziwa ręka Pańska nas dotknęła. Syn leży od dziesięciu dni na attrytyczne bole, a ja dopiero od dwóch dni pozbyłem się uporczywego kaszlu. Marynia zamiast bawić się w zapusty, została szarą siostrą przy szpitalach.

. . . .

Widzisz po pismie, jak jestem osłabiony; gdy się pokrzepię, dłuższy napiszę, a teraz kończę, serdecznie cię ściskając.

Vale amantissime
K. Kozmian.

W parę tygodni po tym liście odebrał kasztelan Wężyk dłuższe pismo z Piotrowic, ale już nie od Kajetana Koźmiana, tylko następujący list od syna jego Andrzeja:

„Komuż w naszem ciężkiem strapieniu zwierzyć się z naszych trosk i obawy, jeżeli nie tobie najszanowniejszy przyjacielu mego drogiego ojca, którego przyjaźń była pociechą i pokrzepieniem jego sędziwego wieku. Otóż stan jego coraz żywszą obudza w nas troskliwość, i tylko w miłosierdziu Bożem całą naszą składamy nadzieję.

Po napisaniu listu do ciebie JW. kasztelanie (był to ostatni list, który napisał), a zatem od 14go tego miesiąca upadek sił jego stal się coraz widoczniejszy. — Gorączki nie ma, przytomność zupełna, ale i niemoc zupełna. To gaśnięcie

sił w oczach naszych rozdziera nam serca i najsmutniejsze obudza obawy.

Wczoraj sam zażądał spowiedzi, odbył ją z całego życia przed szanownym naszym plebanem, księdzem prałatem Baranowskim, przyjął komunię św. wobec nas wszystkich i zgromadzonych domowników, i uczuł się pokrzepionym na duchu.

List twój czcigodny panie wczoraj odebraliśmy, dziś go przeczytałem ojcu, słuchał go z zajęciem; nim nadszedł, często wspominał, że nadejdzie, i oczekiwał go. Choć przytomność umysłu jego nie odstępuje, zdaje się jednak spostrzegać i w nim niejakie osłabienie, brakuje czasem słów do wyrażenia myśli.

Czułem potrzebę serca przemówienia do ciebie szanowny panie mój wyrazem naszej boleści, pewnym będąc najserdeczniejszego współczucia. Westchnij do Boga za chorym; modlitwa z tak zacnej, prawej i wiarą przejętej duszy, a razem tak przyjaznej, nie może jak tylko stać się pomocną. Proszę i szanownego ks. rektora o westchnienie przy mszy św. za chorym starcem. Jeżeli Bóg da polepszenie, nieomieszkam podzielić się tą pociechą.“

Polepszenie już nie nastąpiło.

Ostatnie wyrazy drzącą ręką starca nakreślone odebrał ten, który na to najbardziej zasłużył, jako dozgonny przyjaciel i druh w pisarskim zawodzie. Choćby tylko jako jeden z najpiękniejszych pomników starodawnej, kilkudziesięcioletniej, najczystszej przyjaźni do grobowej deski, zasługiwała powyższa korespondencya, żeby ją uratować z niepamięci.